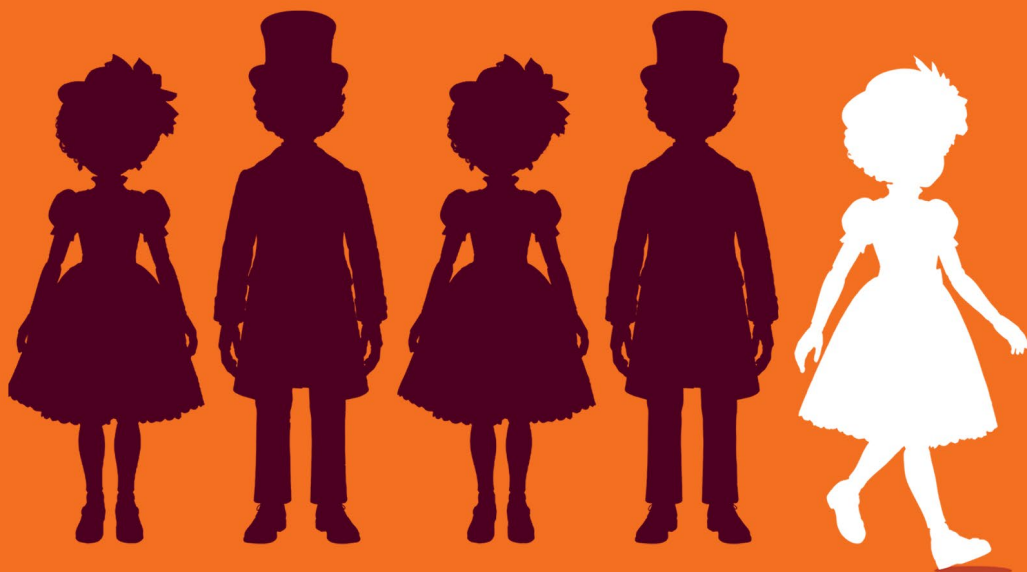


ING 

NIE-LALKA

NIEZALEŻNOŚĆ FINANSOWA ZMIENIA HISTORIĘ



Szczepan Twardoch

Szczepan Twardoch

„Pamiętnik starego markietana”

22 lutego 1880 roku, niedziela, w Warszawie

Zeszyt ten kupiłem wczoraj w księgarni Okońskiego na Miodowej, w zasadzie przypadkiem, wcale tego zakupu nie planując, do Okońskiego zaszedłem tylko z nawyku, zobaczyć, czy jakich nowych książek nie ma. Jest piękny, z szlachetnego papieru, oprawny w ciemnobordowy safran, a subiekt u Okońskiego zaproponował, że nieodpłatnie może mi monogram wytłoczyć na okładce, jak jakimś hrabiemu, i dobrze, niech będzie.

Pióro, którym to piszę, przywiozłem jeszcze z Ameryki, nowoczesne, jakby znak naszych tak szybko zmieniających się czasów: nie trzeba go maczać co rusz w kałamarzu, albowiem atrament znajduje się w środku tego zmyślnego wynalazku.

Od czego jednak zacząć, skoro się już pisać postanowiło, a człowiek do pisania nienawykły, po całym długim życiu, w którym na takie rzeczy nie było czasu? Zadałem to pytanie wczoraj znajomemu pisarzowi nazwiskiem Głowacki, co do Kurjera pisuje Kronikę Tygodniową i ten młody, a zdolny człowiek powiedział tylko: od pierwszego, co panu do głowy przychodzi, panie Rzecki.

Niech więc będzie. Co pierwsze mi do głowy przychodzi?

Może głód w Irlandji i na Szlasku, lato mokre i zimne było, kartofle zgniły, a oni tam nic innego nie sadzą, więc teraz głodują, tyfus, ludzie podobno z głodu chwasty jedzą. Ale cóż ja na to mogę poradzić?

Dotykam jedynej pamiątki, co ją noszę na łańcuszku pod koszulą, co mi została po mojej Biddy, nic więcej nie ma, wspomnienie trupio zimnej dłoni. Kiedy ostatni raz napisałem, kiedy wymówiłem to imię inaczej, niż przez sen? Nikt nie wie, co mówię przez sen, chyba, żeby służba podsłuchiwała, w co nie chce mi się wierzyć, bo i po co mieliby. Więc nikt.

Ale nie chcę o tym pisać, ani o niej, ani o tym, com w gazetach wyczytał, głód w Irlandji i na Szlasku, to przecież nie są nawet moje własne myśli, tylko coś w Kurjerze przeczytanego, ktoś mi te myśli do głowy wsadza, i co mnie to jeszcze w ogóle wszystko obchodzi...?

Więc może występy Modrzejewskiej?

Byłem raz, kilka dni temu, chociaż prawie do teatru nie chadzałem, bo i po co, więcej w ciągu mojego długiego życia widziałem niezwykłości, potwornych i piękniejszych, niż na scenie można pokazać, ale jednak poszedłem, skoro wszyscy teraz idą oglądać wielką aktorkę, co z Ameryki wróciła. Sama Modrzejewska bardzo przystojna, nie tylko jak na jej wiek lat czterdziestu, ale cóż z tego? Widownia pełna, aż mi niezgrabnie było w tym tłumie, tę niedogodność lepiej niż jej występ pamiętam. Przeczytałem wczoraj recenzję Bogusławskiego w „Tygodniku Ilustrowanem” i tak samo, wydrukowane słowa przeciekle przeze mnie, żadnego nie zapamiętałem, wzruszyłem ramionami, co mnie to wszystko obchodzi?

A zatem, być może studenci, co mieszkają w mojej kamienicy.

Największy jest z nimi kłopot. Cóż to jest za towarzystwo! Piją, awanturują się, dziewczyny kuchenne bałamuca, daj im Panie Boże zdrowie i jak mówi Wirski, nic nie chcą płacić, a ja serca nie mam ich kazać wyrzucić, bo co o nich pomyślę, to jakbym trochę siebie widział, kiedyś te trzydzieści z górą lat temu wyruszył z Warszawy, porzucając mojego dobrego Mincla, żeby już tak naprawdę nigdy nie wrócić, bo owszem, ćwierć wieku z okładem minęło i w końcu się człowiek do rodzinnego miasta, też odmienionego, z Ameryki wrócił, ale sam tak odmieniony, jakby nie wrócił się wcale.

Warszawę poznałem, ale samego siebie w niej — gdzie tam! Kto inny wyjechał, kto inny przyjechał, tylko nazwisko takie same, chociaż nawet z paszportem innym, bo amerykańskim. Gdyśmy z nieszczęsnym Katzem, daj mu Panie Boże, żeby jednak świętej pamięci, po cichu na Węgry wyjeżdżali — to obaj nędzarze, młodzi. Więc co ów biedny, młody subiekt wymykający się na wojnę z jedną koszulą na grzbiecie ma wspólnego z panem Ignacym Rzeckim — w paszporcie stoi Mr. Ignatius Recki — za którym ośmiu tragarzy biegło z ciężkimi walizami, gdy wysiadł na Dworcu Wiedeńskim, a było to przecież tylko niewielką częścią mojego dobytku, już nie mówiąc o majątku.

No ale, ale! Nie dość, że mi się tu, do pisania niewprawionemu,

wdarła gramatyczna trzecia osoba, to jeszcze zacząłem od wspomnianych już studentów tę pisaninę, pierwszą w moim długim, pogmatwanym życiu. Mieszkają zatem na trzecim piętrze, od frontu i nie płacą.

Mnie tam ich rubelki niepotrzebne, do grobu przecież nie wezmę, chociaż to może not very business-like, tak myśleć, ale co mi teraz po business-like thinking, więc tam kiedyś poszedłem do nich incognito, wraz z panem Wirskim, spytać jak to jest z tym, że wszyscy czynsz płacą, a tylko nie oni, ze zwykłej ciekawości.

Było to zaiste bardzo ciekawe doświadczenie, albowiem jeden z nich, najbardziej brodaty, wyłuszczył nam w istotnie ciekawym wykładzie, dlaczego on ani kopiejki czynszu zapłacić nie zamierza. Był to wywód o tem, że skoro społeczeństwo go nie zabiło przy urodzeniu — na co się wzdygnąłem, bo po co tak mówić? — to jest mu winne przynajmniej tyle za korepetycje, których udziela, żeby mógł zapłacić za dzielony z innemi dach nad głową, a skoro za korepetycje dostaje piętnaście rubli na miesiąc, za jedzenie bierą mu dziewięć, za pranie trzy, do tego musi jeszcze sobie opłacić mundur i wpis, a przecież uczy się, żeby zostać lekarzem, jak jego ojciec, który też w życiu niczego nie dorobił się i służyć temu społeczeństwu, to na czynsz po prostu nie ma i płacić go nie będzie.

Nie odzywałem się wtedy wcale, pozwalając mówić Wirskiemu. Studenci nigdy nie widzieli mnie na oczy, w ogóle starałem się w tej kamienicy nie pojawiać, żeby uwagi na siebie niepotrzebnej nie ściągać, Wirski sam zarządzał wszystkim, ta sytuacja jednak nieco mnie zainteresowała, bo też życie nauczyło mnie ciekawości, zapiszę to, spróbuję, tak jak zapisują rozmowy w powieściach:

— Drogi panie — zaczął Wirski, nie zdradzając mojego incognito — czyż nie jest jednak tak, że skoro właściciel tej kamienicy, który nabył ją za uczciwie zarobione pieniądze, ma prawo żądać od pana zapłaty za korzystanie z jego własności?

— Jego własności? — zaperzył się brodacze. — A czy pan właściciel tej kamienicy sam ją zbudował? Nosił cegły, mieszał zaprawę?

— Nie, ale zapłacił pieniędzmi, które uczciwie zarobił pracując

w inny sposób — ciągnął Wirski, nie ustępując. — Pieniądz jest ekwiwalentem ludzkiej pracy, czyż nie?

— Uczciwie? Panie Wirski, pan mi powiedz ile ta kamienica kosztowała — rzucił drwiąco student.

— Ja nie mogę o tym...

— Może pan powiedzieć — przerwałem łagodnie Wirskiemu, ciągle całkiem zaciekawiony, ale nie chcąc się zdradzać z tym, że to ja jestem rzeczonym właścicielem. — W końcu to była publiczna licytacja.

— Sto tysięcy rubli — rzucił mój zarządca dość niechętnie.

— Sto tysięcy rubli! Mój ojciec, jak już mówiłem, był lekarzem. Wiesz pan, panie Wirski, ile mu się udawało odłożyć na rok? Nie więcej jak trzysta rubli. Lekarzowi, co musiał tyle spędzić nad książkami czy w prosektorium, żeby móc ludzi leczyć. Pan sobie umiesz policzyć, ile mój ojciec musiałby oszczędzać, ciężko i uczciwie pracując, żeby sobie odłożyć sto tysięcy rubli i kupić uczciwie kamienicę?

Wirski stropił się.

— Trzysta trzydzieści trzy lata musiałby oszczędzać — odpowiedziałem nie dając nic po sobie poznać.

Nie zawsze byłem taki szybki w rachunkach, dopiero w Kalifornii nauczyłem się tajemnej metody, którą pokazał mi pewien we wschodnich naukach uczony Chińczyk, którego zatrudniłem w mojej faktorii na Portuguese Flat, ledwie mówiący przy tem po angielsku, ale rachujący jak nikt i teraz potrafię rachować w pamięci bez liczydła wielkie nawet liczby.

— Właśnie! — student aż uniósł się z podniecenia. — Trzysta trzydzieści lat! Nawet z najlepszych lekarzy pomocą tyle ludzie nie żyją, nieprawdaż? I skoro mój świętej pamięci ojciec, pracując ciężko, a wcześniej wyuczywszy się, mógł odłożyć tylko trzysta rubli rocznie, to jakim cudem ktoś inny może uczciwie, podkreślam, uczciwie zarobić sto tysięcy? Czy pracuje trzysta razy ciężiej niż mój ojciec? Nie sądzę, dzień i noc dla każdego trwają tyle samo! Jak ktoś ma sto tysięcy, żeby kupić kamienicę, bo albo pieniądze odziedziczył...

— Pan Rzecki, którego znam od lat, niczego nie odziedziczył, do wszystkiego doszedł własną, ciężką pracą, panie...

— Trzysta razy cięższą niż mój ojciec, co się na śmierć zaharował?! Jak nie odziedziczył, to pewnie ukradł, bo ja panu gwarantuję, że takich pieniędzy uczciwie zarobić się nie da, tylko wyzyskać na krwawicy...

— Panie — zaczął Wirski groźnie ruszając w stronę studenta. — Pan chcesz obrazić...

Przerwałem mu znowu, delikatnie kładąc rękę na ramieniu.

— Daj pan spokój, panie Wirski. Chodźmy.

I poszliśmy, nie rozstrzygnąwszy nijak tej nierozstrzygalnej jak mi się zdaje rozmowy, w której na jednej szali waży się własność prywatna i prawo do niej, a na drugiej sprawiedliwość i równość człowieka, a czyż nie w imię tego właśnie wyruszyliśmy pamiętnego roku 1848 z Katzem na Węgry?

Poszliśmy więc jednak, Wirski do swoich spraw, ja zaś na obiad i wino do piwnicy Lesisza na Krakowskim, gdzie jadam regularnie, chociaż jest to raczej winiarnia, nie restauracja, jednak zjeść prostego jadła też można. Jadam tu więc rzadko w towarzystwie, bom przez te schyłkowe lata mojego życia wielu prawdziwych znajomości w Warszawie nie zawiązał, przynajmniej nie takich, by z nimi warto było spędzić wieczór. Usiadłem więc sam i zjadłszy gotowanej golonki z ziemniakami i kapustą, zamówiłem sobie jeszcze węgryna, rozłożyłem swój notes, wyciągnąłem moje obywające się bez kałamarza pióro i tak oto tu sobie siedzę i piszę, o pierwszym, co mi przychodzi do głowy.

A dlaczego piszę?

No któż to wie. Żony nie mam, dzieci nie mam, pieniędzy do grobu nie wezmę, a kiedy majątek odumrę, to i kapitał, i dobra nieruchome i nawet rzadkie pamiątki po wielkim Napoleonie, com je za bezcen kupił, natychmiast stracą cechę bycia moimi, bo martwy już nic posiadać nie będę. Pozostawiwszy je więc, nie pozostawię nic, bo przechodzić z rąk do rąk będą, jak to ma majątek w zwyczaju, i nic tych dóbr nie będzie już łączyć z człowiekiem, który jednak żył, i to szeroko, czyli ze mną. Może więc tą pisaniną coś po sobie zostawię, czego związku ze mną nie będzie mogła podważyć żadna sprzedaż, żadna transakcja?

Może dlatego piszę.

W mojej kamienicy, ciekawa rzecz, mieszka też pewna kobieta, samotna - O. Bratańska - i zabawna rzecz, podobno odrzuciła zaloty jednego z tych moich studentów, chociaż wcześniej mieli się ku sobie, argumentując, że jej kot go nie lubi. Ludzki obyczaj dziwny jest nadzwyczaj, ale to tylko taka ciekawostka.

Wracając więc do brodatego studenta, którego nazwiska nie umiem sobie przypomnieć, zawsze wylatuje mi z głowy, to zapisuję tę rozmowę, bo coś mi te jego przemyślenia, bezcelne na pozór, nie dają spokoju.

I wiadomo, że pierwszy mój odruch był wobec tyrady młodego medyka wrogi, jak przystało na prawdziwego przecież self-made mana, jak się mawiało w Ameryce, chociaż tak prawdę mówiąc każdego człowieka zrobili raczej rodzice jego z udziałem dobrego Pana Boga albo sił natury, nie on sam, bo jakże...? Byłem jednak kimś, kto odważnie szedł ścieżką tego, co za oceanem określają jako przynależne każdemu wolnemu człowiekowi prawo do pursuit of happiness, następujący zaraz po życiu i wolności, chociaż tak naprawdę wcale nie za szczęściem gonią, lecz za pieniądzem, a to jednak, jak sam wiem najlepiej, nie jest to samo.

Mój pierwszy więc odruch, gdym te słowa o nieuczciwości usłyszał, to wezbrana nagle fala wewnętrzznego oburzenia, jak ten łajdak śmie, czym wszystkiego nie wywalczył sam, swoim własnym nakładem, czym nie odmawiał sobie wszystkiego, żeby pieniądz mógł krążyć i pracować, każdy zarobiony grosz, cent, talar czy dolar zaprzęgając do pracy? Czym nie zaczął jeszcze na Węgrzech, chociaż wielu mówiło, że nie przystoi, żeby porucznik węgierskiej piechoty pełnił również rolę na poły oficjalnego markietana, ale cóż mi tam ich gadanie, skoro to za moich wysiłków sprawą wojsko moje nie chodziło ani bose, ani głodne. A że sam przy tem zarabiałem, to aby coś złego?

Może i coś złego, ale jak to rozważyć? Gdybym na tym markietanństwie wtedy nie zarabiał i każdego zarobionego grosza czy halerza do pracy nie zaprzęgał, to jakże miałbym znaleźć w sobie siłę i ducha do tego, by ten niełatwy przecież kawałek chleba, o którym

mówili, że oficerowi nie przystoi, jednak ciągnąć, ku dobru i mojemu własnemu, ale i moich ludzi?

Ale może w tym zaprzęganu do pracy właśnie kryje się to, co ów młodzian brodaty określił kradzieżą? Może powinienem był ten grosz, którym zarabiał żywić i odziewając te moje wojsko nieszczęsne, również im wszystek oddać?

Jakże to rozstrzygnąć?

24 lutego 1880 roku, wtorek, w Warszawie

Wczoraj nie pisałem, nie miałem na to siły, nie wyszedłem w ogóle, obiad kazałem sobie podać w mieszkaniu i próżnowałem dzień cały, rozmyślając o tem, czy moja kamienica na pewno jest moja nie tylko w sensie zapisu w księgach, ale również w sensie moralnym, zdaje się jednak, że filozoficzne rozważania takie przerosły możliwości mojego w końcu niezbyt kształconego umysłu, wieczorem zaś, jak zwykle w poniedziałki, udzielałem przez trzy godziny lekcji języka angielskiego. Co do kamienicy zaś, to uznałem w końcu, że zadowolę się tem, że posiadam kamienicę ową w sensie formalnem, zakupiwszy ją swojego czasu za sto tysięcy rubli od Łęckich, kwestię moralną pozostawiwszy nierozstrzygniętą — a i przecież to moje jej posiadanie ma charakter zgola poniekąd dobroczynny.

Wstyd trochę tak o sobie samym pisać, samemu sobie pochwały wystawiać, ale przecie skoro tylko udało się nam z Wirskim wyrzucić tę przekłątą baronową, to i miejsce się zrobiło i w mieszkaniu po niej przyjąłem i zapewniłem skromne utrzymanie ubogim weteranom naszych wojen ostatniego półwiecza, nie ujawniając przed nikim, ani przede wszystkim przed mojami pododpiecznemi własnej tożsamości. Było ich pięciu: trzech starców, urodzonych jeszcze w poprzednim stuleciu, weteranów 1830 roku, jeden nawet dość młody inwalida, który pod Siemiatyczami stracił obie nogi i któregom do mieszkania po baronowej wziął prosto z ulicy, na której żebrał, i jeden mój dawny towarzysz węgierskiej kampanii, który wzrok stracił, gdy mu muszkiet z lufą błotem zatkaną w rękach wybuchł. Opiekuje się nimi dalej pani

Wokulska, chociaż po ślubie już oczywiście żadnego wynagrodzenia za tę pracę ode mnie nie potrzebuje, czyni to jednak, bo powiedziała, że jest to winna i mnie, i naszym podopiecznym.

Sprawy, o której wczoraj napisałem na samym końcu, nie udało mi się więc rozstrzygnąć. Co wiem jednak na pewno, to gdybym wtedy, w Węgrzech jeszcze nie zgromadził tego skromnego kapitału, to nie udałooby mi się ująć do Turcji, kapitał ów znacznie uszczupliwszy łapówkami, ale coś zostało, a tym co zostało w miarę możliwości jałem obracać, gdy spędzaliśmy ten straszny i mroczny czas stojąc internowani w Szumli, w europejskiej części rzeczzonego kraju.

Najpierw zatrzymano nas w koszarach, oficerom wyższemu dano mieszkania na mieście, potem i nam pozwolono, jeśli kto chciał, zamieszkać po domach prywatnych i tak zakwaterowaliśmy się z pewnym wąsatym i hardym szlachcicem rodem z Podola, nazwiskiem Miłkowski, wtedy porucznikiem jako i ja, z którego się później zrobił wielkiego formatu pisarz i działacz narodowy, o czym rzecz jasna pisać bym nie mógł, gdybym kiedykolwiek zapiski te moje chciał ujrzeć wydane drukiem, żaden cenzor by na to nie pozwolił, ale nie, nie dbam o to, piszę to jeno dla siebie samego, nawet nie dla potomnych, bo mi życie potomstwa nie dało, a jedyna moja wielka miłość pozostała za oceanem. Ale to znowu dygresja, po której znać pióro niewprawne, pozbawione dyscypliny, jaką ojciec mój próbował mi wpoić i wpoił przecie, razem z miłością do Bonapartych, niech ostatniemu z nich ziemia lekką będzie i niech mi many mojego ojca wybaczą, żem i o Bonapartych nieco zapomniał.

Wracając więc do Szumli: tamśmy z panem Miłkowskim wyprowadziwszy się z koszar zamieszkali u pewnego Bułgara w izbie z kominem, gdzie zaraz urządziliśmy sobie coś, co pan Miłkowski, ciekawszy lokalnego życia, nazywał mangalem, to jest wielką misą, w której w popiele układało się węgle, służące i do ogrzewania, i do gotowania jadła. Mieszkał też z nami pan Zamojski, owszem, i nie było nam tam źle: było ciepło, było co jeść, tyle że wielcy panowie, to jest Zamojski i Miłkowski, nudzili się pasjami, nudę zabijając albo tym, żeby izbę oporządzać na błysk, albo co dobrego ugotować, co mi

przypomina taką historię, jak to pan Zamojski kury chciał ugotować, ale nie miał serca ich zabić i ja też nie miałem, a każdy z nas bagniet wbił w ludzką pierś i brzuch nie raz, jak to w piechocie; w końcu poprosiliśmy dwie Bułgarki o to morderstwo i dokonało się.

Jednak panowie nudzili się. Strugali coś w drewnie, pisali pamiętniki, jakiś ręcznie odpisywany dziennik redagowali z zapalem moim zdaniem godnem lepszej sprawy, politykowali, zakładali jakieś towarzystwa demokratyczne albo liberalne, ale wszystko na nic, zabijana nuda nudzi jeszcze bardziej, inni więc po prostu siedzieli na sposób turecki w kawiarniach, pijąc kawę i paląc nargile, albo nawet biorąc się do opium i haszyszu, bo też bardzo doskwierał im wtedy brak kobiet, a ja, wiedząc to, nudzić się nie potrafiłem i zacząłem znowu próbować obracać tym moim kapitałem mocno nadgryzionym przez łapówkę, dzięki której niewoli austriackiej unikałem.

Z Turkami żadnych stosunków utrzymywać się nam nie dało, bo oni na chrześcijan nie zważali w ogóle, ale z Bułgarami jakiś handel kwitł, i o ile wszyscy się nim po trochu zajmowali, zamieniając dziesięć cebul na kawał płótna, mnie udało się pieniądze zaprząć do pracy, oczywiście nie na wielką skalę, ale chociażby na tyle, żeby straty po ujęciu z niewoli odrobić, ale ani przez chwilę nie przestawałem zadawać sobie tego pytania: gdzież podział się ten skromny subiekt ze skromnej pracy u dobrego Mincla, zadowolający się byle czym, byle żyć w sposób spokojny i uporządkowany? Co zmieniło się we mnie, czy charakter człowieka, jego wewnętrzna struktura, w ogóle może się zmienić? A jeśli tak, to od czego, cóż wydarzyć się musi, żeby ta zmiana zaszła? Czy był to jakiś nagły moment przełamania, gdy wojsko swoje widział bez butów i głodne, czy raczej powolna przemiana w tym kierunku, by z tego człowieka, gotowego zadowolić się byle czym, stałem się tym, kim się stałem?

Siedząc tu teraz w podeszłym już wieku i kreśląc te słowa, zastanawiam się, czy mógłbym żyć inaczej? Przecież nie zawsze byłem tym, kim się stałem, gdy posłuchawszy w Southampton młodzieńckiego księcia Czartoryskiego zdecydowałem o emigracji za ocean?

Mogłem przecież wrócić również wtedy w końcu z tej tułaczki,

wrócić jakoś może do Warszawy, z powrotem do pracy u Mincla i dać się wciągnąć w te biedne, ale uporządkowane tryby rytuału, szacunku i tego, w com sam przecież za młodu wierzył: po co narażać życie dla groszowych zysków?

Ale może najpierw należałoby napisać, jak to się w Anglii znalazłem.

Turcy nas już trzymać nie chcieli, chyba, żeby który na islam jak generał Bem przeszedł, co niezbyt mi się uśmiechało, nam się też wśród ciemionych od Turków Bułgarów zanadto żyć też nie chciało, bo za bardzo przypominało nam o naszej rozgrabionej przez zaborców ojczyźnie i żaden inny kraj w Europie nas nie chciał, więc Anglja. Pan Miłkowski przekonywał, że pobyt na Zachodzie pozwoli jakby zatrzeć winę uczestnictwa w wojnie węgierskiej i do ojczyzny powrócić, na co wtedy jeszcze liczyłem był.

Statek wypłynął z Warny, był to parowiec z bocznymi kołami, z załogą turecką i kapitanem Turkiem. Pierwszego dnia wszystkich chwyciła choroba morska i tylko mnie jednego nie, chociaż pierwszy raz nogę postawiłem na pokładzie morskiego statku, wcześniej jeno wiślanymi skutami żeglować mi się parę razy zdarzało. Najgorzej chorował pan Miłkowski, bo do samego końca, innym choroba minęła po dniu albo dwóch. Dało mi to wiele do myślenia na temat tego, do czego jest człowiek w życiu powołany? Czybym, narodziwszy się w mieście i kraju nic z morzem nie mających wspólnego, mimo tego narodził się na marynarza i tylko z niewiedzy o tem przeznaczonym mi losie przyszło mi zostać subiektem, oficerem i markietanem, a wreszcie teraz tułaczem?

Najpierw stanęliśmy w Bosforze, potem popłynęliśmy sześć dni na Maltę i tam zaczęły się targi, kto, jak i gdzie się uda. Anglicy przyjęli nas bardzo dobrze, owszem, zakwaterowali nas w pustym aktualnie budynku służącym zwykle kwarantannie załóg, przybywających z terenów objętych zarazą. Z Malty ruszyliśmy jednak dalej, na pokładzie statku żaglowego z angielską załogą i podróż do Southampton miała nam zabrać miesiąc — wiatr jednak nie sprzyjał, i przez parę dni okręt nasz co rusz tylko skręcał to w jedną, to w drugą

stronę a wyspa, jak się później okazało o nazwie Pantelleria, ciągle pozostawała w zasięgu naszego wzroku, co skutecznie popsuło nam wszystkim humory, popsuły się jeszcze bardziej, gdyśmy w końcu którejś nocy usłyszeli piekielny huk i okazało się, że statek nasz wpadł na skały przy brzegu Afryki.

Wspomnienia z tego momentu mam już bardzo zamglone, woda wlewała się do środka, kapitan zbiegł na szalupie, majtkowie angielscy wołali nas na pomoc do pomp, do łodzi była kolejka i kiedym się znalazł w ostatniej, to znalazłem się tam z pustymi rękami i prawie cały mój skromny kapitałik zbudowany z markietanstwa i wielkim szczęściem ocalony w Turcji poszedł na dno razem ze statkiem, który na rzeczonej skale rozpękł się na pół chwilę po tem, jak łódź zabrała ostatnich majtków i pasażerów.

Na afrykańskiej ziemi zostałem z niczem, podobnie jak wszyscy moi towarzysze, ale jakimś sposobem ducha nie straciłem. Żyliśmy tam przez kilka tygodni jak Adam i Ewa w raju, o nasze wyżywienie dbał konsul kraju, którego już nie pomnę, z żagli ściągniętych z wraku sporządziliśmy szalasy, towarzyszyliśmy też Arabom w polowaniach na przepiórki. I co pamiętam dokładnie, to jak siedząc na plaży, na brzegu ciepłego morza, zupełnie goły myślałem: może nic więcej nie trzeba? Może nie trzeba Polski, rewolucji, Bonapartych, może nie trzeba fortuny, może nie trzeba nawet spokoju i bezpieczeństwa, jakie mogła mi dać praca dla Mincla, może wystarczy po prostu być, siedzieć w cieniu nabrzeżnej skały na ciepłym piasku, dla ochłody zanurzyć się w wodzie, acz tylko po pas, bo pływać nie umiałem.

W tym miejscu muszę już przerwać moje zapiski, albowiem jestem człowiekiem systematycznym i czas już udać się na spoczynek, a czeka mnie jeszcze droga do domu.

25 lutego 1880 roku, środa, w Warszawie

Mróz okropny, jakby zima wcale nie zmierzała ku końcowi, Wisła skuta lodem, chociaż ostatnio przy przeręblu lód się załamał pod jakąś służącą, co nabierała wody i utopiła się, nieszczęsna.

Nie potrafię zdecydować, czy pisać tu tylko wspomnienia z lat dawno minionych, czy też powinienem zapisywać tutaj jakieś ślady mej monotonnej w swym dostatku codzienności? Zdaje mi się, że nie ma nic nudniejszego niż życie człowieka, który ma już więcej, niżli pragnie.

Byłem wczoraj w salonie sztuk pięknych Ungra, w domu hrabiego Krasieńskiego przy Niecałej, obejrzeć obraz Siemiradzkiego „On i ona”, o którym z wielką pasją opowiadał mi w poniedziałek Wokulski, który wciąż od dobrych trzech lat przychodzi do mnie na lekcje angielskiego języka, którym włada już całkiem nieźle. Wokulski jest człowiek przyzwoity, co jak i ja na wojnie majątku dorobił się. Obraz wystawion był w oświetleniu elektrycznym, ludzie się tłoczyli, chociaż wstęp wynosił piętnaście kopiejek, gdy dopchałem się w końcu okazało się, że nie stanowi sobą niczego specjalnego i wyszedłem rozczarowany, samego Wokulskiego napotkawszy zresztą potem na ulicy, gdym do sań wsiadał — ten porwał mnie, że zaprasza do restauracji w nowootwartym Hotelu Brühlowskim na świeże ostrygi, nie bardzo mi się chciało, ale entuzjazmowi człowieka szczęśliwego trudno odmówić. Ostrygi jeść się nauczyłem dawno temu, w Bostonie, tam bardzo popularne są. Siedzieliśmy więc do późna, a Wokulski, podochociwszy sobie nieco, zaczął mi opowiadać o tem, jak swojego czasu rozum stracił dla pewnej damy z towarzystwa, nie wartej, jak sam mówił, aby nawet jej nazwiska wspomnieć i jak tylko dzięki temu, że do mnie na lekcje przychodził odkrył, jak marnego charakteru, ale i inteligencji była to osóbką — nie wiedząc, że zalecający się do niej Wokulski owszem język jako tako zna, szydziła zeń z wyższością, na jaką stać jedynie arystokratów.

— Gdybym wtedy, mój kochany panie Rzecki, nie trafił na pańskie lekcje, dzisiaj może dalej biegałbym z wywieszonym jak pies jęzorem za tą nic nie wartą kokietką i nawet bym nie dojrzał, jaki to diament w pańskiej kamienicy się chował — mówił, mając na myśli swoją żonę, primo voto Stawską, z którą jedyną do ożenku przeszkodę, to jest kwestię nieznanых losów jej poprzedniego męża, bez trudu rozwiązał pojechawszy za jakimiś interesami do Paryża.

Siedzieliśmy więc z Wokulskim do późna, opowiadał mi o interesach, jakie gnają go ciągle do Paryża i Londynu wraz z rosyjskimi kupcami, o tym, ile kupił nafty amerykańskiej i z jakim zyskiem sprzedał Bieleckiemu, co skład lakierów ma na Chłodnej, o jakichś wynalazkach, co rzekomo widział w Paryżu, a mnie zdało się, że od szampa, cośmy go do tych ostryg pili nieco miesza już w głowie, w każdym razie im więcej o swoich interesach mi opowiadał, tym więcej myślałem o piasku afrykańskiej plaży, na której wraz z panem Miłkowskim i resztą tulańczy czekaliśmy na ratunek prawie trzydzieści lat temu, o czym pisałem wczoraj.

Pamiętam to dokładnie, bo zostały te pytania, które wtedy sobie zadawałem ze mną do dziś, kiedy tak znowu siedzę przy stole w piwnicy u Lasischa. Nikt tego poza mną czytał nie będzie, chyba, że po mojej śmierci, ale i wtedy pewnie też nie. Widziałem dwadzieścia lat temu w San Francisco, jak wynoszono rzeczy z mieszkania bezpotomnie zmarłego na apopleksję kupca nazwiskiem, jeśli dobrze pamiętam, Schneider — po rzeczy wartościowe zgłosili się jacyś uwzględnieni w testamencie spadkobiercy, a papiery ktoś wyniósł i zostawił na ulicy, podniosłem jeden z jego zeszytów i przewertowałem szybko, stojąc na ulicy w kalifornijskim słońcu, i było tam całe życie tego człowieka, dzień po dniu spisane, odrzuciłem ten zeszyt nagle, pamiętam, zdjęty trwogą, jakbym trzymał zimną dłoń trupa.

Tyle i ze mnie zostanie, z tej pisaniny tutejszej, której nikt nie przeczyta. Może przynajmniej bonapartystowskie memorabilia ktoś uszanuje, bo przecie nie mało warte.

Wracając więc do tego dziwnego czasu na afrykańskiej plaży, nie pomnę już ileśmy dokładnie na wybrzeżu spędzili, cały ten czas próżnowałem, aż w końcu przyплыnęła po nas angielska fregata, odstawiła nas z powrotem na Maltę, gdzieśmy mieli nieco więcej czasu na to, żeby co pozwiedzać, ja jednak nic zwiedzać nie chciałem, bom się postanowił uczyć języka angielskiego od jednego z marynarzy, który mi w tej nauce dopomagał niczego nie chcąc w zamian, najwyraźniej samotny bardzo, i tak się złożyło, że zaciągnął się na ten sam piękny parowiec, który nas już bez większych przygód zawiózł do

samego Southampton, gdzie stopę na ziemi angielskiej postawiwszy, podstawowymi zwrotami już się posługiwałem. Coś musiało się we mnie wydarzyć wtedy, na Węgrzech, coś musiało się przełamać, gdy patrząc na nędzę moich żołnierzy i postanowił uznać ją za moją własną odpowiedzialność, i czego zrodziła się potrzeba działania, tylko do dziś nie wiem, na rzecz czyjego dobra, wspólnego czy własnego?

W rzezonym Southampton zakwaterowano nas w wytwornym hotelu, gdzie, jako obdartus bez grosza przy duszy, czułem się bardzo nie na miejscu, wśród ludzi, którzy przebierali się trzykrotnie w ciągu dnia, strój odpowiedni posiadając na każdą porę i okazję, i tam w końcu spotkaliśmy wspomnianego już przeze mnie wcześniej księcia Władysława Czartoryskiego, młodego, szlachetnego pana o twarzy dziecięcia.

— Patrz pan, panie Rzecki — mruknął Miłkowski, widząc księcia — takie to paniątko, rade z tego, że go Pan Bóg dobry stworzył, a poza tym to chyba nic o bożym świecie niewiedzące.

Mnie jednak wydał się sympatycznym jak na arystokratę, a i propozycja mnie zainteresowała: który z nas wybierze się do Ameryki, ten będzie miał i podróż opłaconą, i otrzyma jakąś kwotę na sam początek pobytu w Ameryce. Tym, co zostają, przyznana jest bardzo szczupła zapomoga, a potem niech sobie radzą sami.

Nie wahałem się ani chwili. Pamiętam tę chwilę dokładnie, jakby się wydarzyła wczoraj: podniosłem rękę jako pierwszy, po mnie wielu innych, ale ja wiedziałem: dla mnie nie ma przyszłości na tem kontynencie. Księcia nigdy więcej nie spotkałem, acz wiem, oczywiście, że niezmordowanie służył i dalej służy sprawie polskiej w tym właściwym arystokratom stylu, gdzie sprawy polityczne traktuje się jak jedną wielu pasji, które szlachetnie urodzonemu wypada posiadać. Polska więc owszem, tak samo jak wyścigi konne, polowanie na bażanty albo yachting w jakimś klubie, nigdy ze szkodą dla własnej fortuny i nazwiska. Ale niech tam, to osobny przecież jest gatunek człowieka.

Nie wahałem się zatem. Ameryka obiecywała nowość, pokój, wolność — i nie dotrzymała tych obietnic, dlatego piszę te słowa

u Lesisza w Warszawie, a nie na przykład w Parker House w Bostonie.

Wtedy jednak oczywiście nie wiedział, co przyniesie los, ale zmiana, która dokonała się we mnie na Węgrzech, wypełniła mnie swoją nieodpartą logiką: muszę działać, nie mogę gnuśnieć i dwa tygodnie później, wyposażony tak, jak obiecywał książę Czartoryski, zaokrętowałem się w Liverpoolu na pokład imponującego bocznokołowca linii Cunard Line, noszącego wiele obiecującą nazwę „Canada”.

Był to piękny statek, a jam już wtedy nauczył się piękne linie okrętów doceniać, na niejednym pokładzie wiele czasu spędziwszy. Miał wąski, smukły kadłub żaglowca, trzy maszty, pomiędzy nimi komin i dwa potężne, boczne koła, za których sprawą do Halifax w Kanadzie dotarliśmy po niecałych ośmiu dniach, by w Nowym Jorku znaleźć się kilka dni później. Znużony wcześniej tak dłużącą się podróżą z Warny do Southampton, byłem pod wielkim wrażeniem tempa tej żeglugi, pamiętam to znakomicie. Gdy ćwierć wieku później wracałem do Europy na pokładzie liniowca Oceanic, wiele się zmieniło w samym statku, który był o wiele wygodniejszy i wykwinniejszy, zwłaszcza dla zamożnego pasażera, i zamiast bocznych kół posiadał podwodną śrubę — ale przecież sama podróż nie trwała jakoś wiele krócej.

Nowy Jork przytłoczył mnie. Razem z trzema braćmi Polakami zakwaterowaliśmy się w ohydnej ruinie na Five Points, gdzie ulicą władali irlandzcy bandyci, przezywający się Martwymi Królikami, trzeba było bardzo uważać, aby nie zostać obrabowanym albo zabitym, więc uszczuplając mocno niewielką sumkę, jaką wtedy dysponowałem, szybko nabyłem niewielki pistolet z obrotowym cylindrem mieszczącym proch i kule na pięć strzałów i jakoś się z tą przemyślną, wielostrzałową bronią polubiwszy, nie rozstawałem się z nią w ciągu całego mojego pobytu w Ameryce i przywiozłem nawet ze sobą z powrotem do Warszawy; tu jednak odłożyłem do szuflady i więcej anim na nią nie spojrzał, jakby to do tamtego świata, nie tego należała.

26 lutego 1880 roku, czwartek, w Warszawie

Byłem dzisiaj w ratuszu na odczycie młodego pisarza, pana Henryka Sienkiewicza, który opowiadał o swoich doświadczeniach z Ameryki — tylko po to poszedłem posłuchać, wyszedłem zaś rozczarowany, bo szybko się okazało, że pan Sienkiewicz po prostu zmyśla. Życzliwi powiedzieliby może, że tylko koloryzuje, ja jednak, spędziwszy w Ameryce ćwierć wieku, znam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że ów młody pisarz po prostu łże. Czyżby na tym miała polegać literatura, żeby opowiadać bajdy a jeszcze udawać, że to się naprawdę wydarzyło?

Oczywiście nie odezwałem się ani słowem, ale wyszedłem głęboko zniesmaczony i sam już nie wiem, dokąd mnie te linijki ręcznie pisane mogą zawieść. Nie czuję się dziś najlepiej, zamówiłem do kolacji butelkę węgryzna, coś mnie jednak w piersi ściska, ale i tak piszę.

Wczoraj musiałem to skrobanie w zeszycie przerwać, albowiem u Lesisza zdybał mnie znowu pan Wokulski, któremu najwyraźniej nie dość było mojego towarzystwa, a i mnie on jest całkiem miłym, i zdaje się, że do mojej ulubionej winiarni nie zaszedł do końca przez przypadek.

Zaprosiłem, przysiadł się i zaczął mnie delikatnie, z wielkim wdziękiem namawiać na interes: otóż zbankrutował niejaki Duszek, utrzymujący skład materiałów żelaznych przy Krakowskim Przedmieściu, pod numerem zdaje się 427, bo długi miał wielkie wobec Szustra; kuratorem zaś jest adwokat Krysiński, dobry znajomy pana Wokulskiego i jest to znakomita okazja, aby zainwestować kapitał na dobry procent, Szustra spłacając, bo temu trzeba gotówki, nie towarów wraz ze składem. Machnąłem w końcu ręką, chcesz pan inwestować, panie Wokulski, to pan inwestuj, dam panu na to dziesięć tysięcy, będzie co będzie. Jak pieniądz coś zarobi, to zarobi, jak stracę, to stracę, więcej mam tych rubli niżbym mógł do końca życia wydać, zbytków żadnych poza stołowaniem się w porządnym restauracjach mi nie trzeba, w karty grać nie chodzę, rozpuście się nie oddaję,

o kobietach zapomniałem zupełnie, równie dobrze mogłyby dla mnie nie istnieć, chodzą więc po ulicach i zasiadają w salonach jako istoty owszem piękne, ale tak dalece dla mnie niezrozumiałe, że nawet nie śmiałybym się żadną zainteresować, chociaż niejedna przecie, od kiedym do Warszawy wrócił, z wizytami się narzucała, niektóre nawet piękne, młode panny z dobrych, ale zbiedniałych domów, wdowy starsze i przystojne, ale dla mnie wszystko to nic.

Mówiłem sobie: nie ciebie chcę, stary głupcze, lecz majątku, po co im sześćdziesięcioletni, do tego tak zmęczony życiem starzec. I przecież trudno je za to winić — ale i mnie trudno winić za to, że się w takie awantury nie chcę już na starość pakować. Majątek przepiszę na jakiś sierociniec, albo oddam tym studentom socjalistom, może to jest dobry pomysł! Ciekaw byłbym zobaczyć, cóż ten radykał brodaty by zrobił, gdyby spadł na niego taki dar jak grom z jakiego nieba, oto tutaj jest kapitał, a mam tego łącznie w przeliczeniu ponad milion rubli, czyli jakieś pół miliona dolarów, a więc mógłbyś za to, mój drogi brodaczu,łożyć na życie dziesięciu ludzi po dziesięć tysięcy rubli rocznie przez dziesięć lat i tych dziesięciu ludzi, łącznie z tobą, mogłoby się przez dziesięć lat oddawać jakiejś zbożnej pracy, czy będzie ona dla dobra Polski, czy ludzkości całej, to już sam sobie zdecyduj. No, ciekawym, co byś zrobił, mądralo, oddał wszystko od razu do partyjnej kasy, rozdał biednym, ufundował sierociniec, czy jednak potraktował taki dar od losu jako dar dla ciebie samego, ożenił się dobrze, kapitał zainwestował, kupił majątek nawet, dwadzieścia włók na przykład z murowanem pałacem, ciekawym co byś zrobił, ale przecież nigdy się tego nie dowiem, bo za życia nikomu tego oddać nie zamierzam.

Wokulski po tem, jakem się na dziesięć tysięcy rubli zgodził, zaczął mnie przekonywać do kolejnego interesu, tym razem z Fabryką Czekolady Parowej Wróblewskiego, który nowe maszyny kupuje i kapitału bardzo mu trzeba, i wejść można oczywiście na niewiarygodnie korzystny procent; tutaj już odmówiłem grzecznie, bom do Warszawy przyjechał żyć i umrzeć jako bogaty emeryt, nie człowiek interesu.

Ale do kobiet jeszcze wracając, których się trochę garnęło do

mnie, starca pozbawionego przymiotów jakichkolwiek poza majątkiem, jeśli mogę sobie na takie skakanie z tematu na temat pozwolić, a chyba mogę. Była, owszem, jedna w moim życiu i po niej już żadnej, nigdy.

Ręka zaczyna mi drżeć, kiedy o tym piszę, stąd te kleksy i pismo rozarte, bo przecież nie od łez, bom nigdy o tem z nikim nie mówił. Dotykam przez koszulę mojej ukochanej pamiątki, z którą się nie rozstaję, złotego medalionu skrywającego kolodionowy obraz jej twarzy.

Na imię było jej Biddy, głód wygnał ją z Irlandii, poznałem ją w Nowym Jorku, jeszcze w Five Points. Była z niej tułaczka jak i ja tułacz, sierota w wieku lat dwudziestu jeden, rodzice jej zmarli oboje miesiąc po tem, jak wylądowali w Ameryce. Tyfus, brud i choroby pleniące się w Five Points pokonałyby mocniejszych, a oni, wedle słów mojej Biddy, do najmocniejszych nie należeli. Była nieźle wykształcona, rodzina jej musiała więc nie najgorzej prosperować, zanim popadnięcie w dług i nędzę zmusiło ich do emigracji, rozmawialiśmy oczywiście po angielsku, chociaż nocami szeptała do mnie po irlandzku, a ja do niej czule słówka mówiłem po polsku.

Nie mieliśmy tych nocy wiele.

— I am your wife now and you are my husband — powiedziała do mnie rankiem wobec świadkini, na którą została przywołana przeze mnie do stołu na jej żądanie kucharka. Znaczy to tyle, że ona jest moją żoną a ja jej mężem. Nic nie zostało zapisane inaczej niż w znakach, jakimi każdy nasz czyn odciska się w czasie. Powiedziała to po pierwszej z naszych niewielu nocy, a ja nagle zrozumiałem, że wszystkie te korowody lepszego towarzystwa, których świadkiem byłem jeszcze w Warszawie, wszystkie zaloty, flirty towarzyskie, dobre prowadzenie się, złe prowadzenie się, reputacja i jej brak, swatki, mezalianse, śluby przed księdzem, wszystko to narosło jak rak nad prostotą, z jaką Biddy została moją żoną, a ja jej mężem i wszystko furda.

Powiedziała mi tego samego dnia, że musimy porzucić to miasto — zgodziłem się, bo cóż mnie z nim łączyło, cóż łączyło mnie w ogóle ze światem? Byłem sam, nie miałem nikogo i nikt — poza nią — nie miał mnie.

Wyruszyliśmy jak tysiące innych na Oregon Trail, czyli prowadzący na zachód szlak oregoński, o którym tyle głupstw opowiadał na swoim odczycie ten arogancki młokos, i zanim dotarliśmy do Fortu Laramie, Biddy zachorowała, trudy podróży, zła pogoda, złe jedzenie, lekarz przyszedł, powiedział: pneumonia i cóż mi po tej wiedzy? Biddy zmarła dwa dni później na twardej pryczy w Forcie Laramie i tam ją pochowałem.

Ile więc mieliśmy tych nocy, kilkanaście w Nowym Jorku, nie rozstaliśmy się ani na chwilę od tej pierwszej, i potem na wozie, w namiotach, w tanich pokojach, w brudzie, w robactwie, w strachu przed Indianami, w zimnie, aż do ostatniej, w której leżała martwa, a ja siedziałem na podłodze z desek u jej stóp, ściskając jej zimną dłoń, i nie umiałem nawet łzy uronić, może dlatego teraz płaczę, aż widzę, że się kelnerzy patrzą na mnie jak na starego wariata i czuję, jak ściska mnie coś w piersiach, ale nic to, będę pisał dalej, chociaż może raczej testament spisywać powinienem.

W Forcie Laramie amerykański oficer rozpoznał we mnie żołnierza, chociaż ilem to ja się tam nawojował, zapytany przyznałem, że byłem porucznikiem w węgierskiej piechocie, brakowało mu ludzi, zaproponował mi służbę, odmówilem, tłumacząc się, że jako były oficer nie mogę jako szeregowiec służyć, jednak tak naprawdę cóż mi tam po cudzych wojnach, cóż mi po gonitwach z Indianami, żał mu się mnie najwyraźniej zrobiło, gdy mnie nad oznaczonym zbitym z desek krzyżem grobem widział, i zaprosił mnie na kolację do lepszej części ohydneho, lokalnego szynku, opowiadał mi o meksykańskiej wojnie, ja mu o węgierskiej, o mojej pracy markietana tamże i o dalszej tułaczce, wszystko było lepsze od myślenia o tym, że jedyna kobieta, jaką kochałem w życiu leży tam nieopodal w ziemi, w najtańszej trumnie i tak dwadzieścia osiem lat minęło, a ja ani nie spojrzałem już nigdy na inną, bo jedna była tylko dla mnie i ja tylko dla jednej, a nic z niej nie zostało, nawet żaden ślad poza nieogojącą się raną w sercu mojem.

Amerykański kapitan, zresztą Niemiec z pochodzenia, nazwiskiem Mueller, polubiwszy mnie z nieznanego mi powodu i słysząc o mojem aprowizacyjnem doświadczeniu zapytał, czy nie

chciałbym trochę zarobić, zajmując się aprowizacją jego żołnierzy, odparłem, że nie posiadam na to kapitału, wszystkiego majątku miałem wtedy może dwadzieścia dolarów, odparł, że widzi we mnie człowieka honoru i jest gotów pożyczyć mi sto dolarów na uczciwy procent, abym mógł nimi obracać, zarobić i jednocześnie pomóc mu w niedomagającym zaopatrzeniu, zgodziłem się i wróciłem na wschód i potem z powrotem do Fortu Laramie i tak kilkakrotnie, raczej na koźle wozu, niż w siodle, z najętymi zbrojnymi dla ochrony, po czym za piątym razem mogłem mojemu wtedy już przyjacielowi zwrócić jego sto dolarów wraz z procentem, samemu posiadając kapitał, którym można było rozporządzić i poza tym nie posiadając nic poza wozem i paroma tłumokami i walizami.

Powiedziałem wtedy kapitanowi Muellerowi, że to ostatni raz, gdy się widzimy, bo każdy powrót do Laramie, do miejsca, w którym umarła, kosztuje mnie zbyt dużo, uściskaliśmy się mocno, wyznał mi wtedy, że on również pochował tutaj żonę i że z nikim, nawet w dzieciństwie, nie czuł więzów przyjaźni tak mocnych jak ze mną.

Ja czułem podobnie, nie spotkaliśmy się już nigdy więcej i jakbym dwa groby za sobą w tym Forcie Laramie zostawił.

Korespondowaliśmy potem jeszcze, ale obaj nieustannie zmienialiśmy adresy i w końcu kontakt się urwał i dziś nie wiem nawet, czy kapitan Mueller jeszcze żyje. Byliśmy wtedy w podobnym wieku, więc byłaby na to szansa, nawet biorąc pod uwagę hekatombę, która nastąpiła dziewięć lat później i do której się przyczyniłem, i która uczyniła mnie bogatym człowiekiem.

15 marca 1880 roku, poniedziałek, w Warszawie

Po tak długim czasie nie wiem nawet, czy to wypada do tego pisania tutaj wrócić, ale pomyślał sobie, że stanąwszy na progu wieczności trzeba się chwytać czegokolwiek, co jeszcze w życiu zostało.

Wczoraj chciałem nawet pójść do kościoła, skoro lekarz pozwolił mi już ruszyć się z mojego skromnego mieszkania, i wyszedłem po ponad dwóch tygodniach na dwór po raz pierwszy. W kościele na

żadnym nabożeństwie nie byłem ponad trzydzieści lat, od kiedym granicę turecką przekroczył, ale wczoraj pomyślałem, że pójdę, skoro zdaniem doktora stałem już jedną nogą nad grobem, poszedłem więc do kościoła św. Andrzeja Apostoła przy Bonifraterskiej, bo miałem najbliżej, ale natychmiast odstraszyły mnie tłumy, wczoraj była bowiem Niedziela Męki Pańskiej i zdaje się nie tylko ja pod koniec Wielkiego Postu pomyślałem o nawróceniu, rewolwer schowawszy z powrotem do szafy.

Gdzie tłumy tam jednak nie ja, porzuciłem więc ideę powrotu do religii, postanowiłem za to wrócić do moich wieczornych posiedzeń u Lesisza, zaszedłem, zjadłem wszystko to, czego mi doktor jeść zabronił i zamówiłem butelkę węgryzna, równie zakazaną, wyciągnąłem mój zeszyt i pióro i znowu sobie mój pamiętnik piszę.

Ostatniego razu, kiedym tu siedział, pisał i płakał, wypilem tego wina zdaje się za dużo, po czym poczułem się bardzo słabo i straciłem przytomność. Ober posłał po lekarza, lekarz przybył, zdiagnozował atak serca i jakoś mnie uratowali, cóż z tego?

Poczyniłem od tego czasu ważne posunięcia, przede wszystkim kazałem służbie wezwać adwokata Krysińskiego i sporządziłem testament. Nie mając w tym mieście ani na tym świecie żadnych zstępnych ni wstępnych, Wokulskim zapisałem kamienicę, z zastrzeżeniem, które nieco głupio mi było czynić, znając pana Wokulskiego jako człowieka honoru, iż musi pozostać w ich rękach przynajmniej do śmierci zakwaterowanych w mieszkaniu po baronowej podopiecznych, których utrzymanie zabezpieczyłem solidną sumą, złożoną na uczciwy procent gdzie trzeba, z której odsetek ma być też opłacane zakwaterowanie, utrzymanie i pensja dla pana Wirskiego.

Osobną kwotę przeznaczyłem dla Helci, którą ma otrzymać po osiągnięciu wieku lat osiemnastu, dla swojego wyłącznego rozporządzenia. Oczywiście wcale tych pieniędzy nie potrzebuje, jako przybrana córka bogacza, jakim jest Wokulski, ale jest to dziecina bardzo słodka, aniołek mały i pomyślałem sobie, że pieniądze ojca to zawsze pieniądze ojca, nawet kiedy kocha ją jak własne. Ojciec, nawet tak mądry jak ten, może oszaleć, może zbankrutować, może

wreszcie dostać apopleksji, albo modnej ostatnio choroby braku woli, która ludzi do łóżek kładzie bez żadnej widocznej przyczyny i w takiej sytuacji jej własne pieniądze, niemałe, uratują ją przed tem, żeby musiała nie daj Bóg kiedy łakomie spojrzeć na majątek jakiego starca, jak te wszystkie nieszczęsne panny i wdowy, które koniecznie do starego Rzeckiego chciały przyjść z wizytą albo przychodziła w imieniu ich ojców i matek swatka, bo nie wiedziały, że Rzecki mógłby im nawet oddać tak po prostu swoje pieniądze, gdyby powiedziały prosto, że to pieniędzy im trzeba, ale Rzecki, co pisze teraz w trzeciej osobie, po prostu nie mógłby znieść tego, że któraś, poślubiona starcowi, miałaby potem przy tym starcu, przy Rzeckim, przy mnie rozebrać się z sukien, Boże uchowaj.

Dla mnie była tylko jedna kobieta, moja Biddy, i pochowałem ją niedaleko glinianych murów Fortu Laramie w Wyoming, i znowu pióro jakoś rozlewa ten atrament.

Czy jest sens tutaj jeszcze o tem wszystkim co potem pisać? Czyż nie po to jednak zacząłem ten pamiętnik, który już całkiem niedługo wyląduje na jakimś śmietniku albo w najlepszym razie posłuży komuś na papier do skręcania papierosów?

Czy po to może piszę, żeby się papierowi wypowiadać z mojego życia?

Niech więc będzie.

Pożegnawszy się z moim przyjacielem, kapitanem Muellerem, wróciłem do Nowego Jorku, nie bez obejmujących dwie strzelaniny przygód, zakwaterowałem się miejscu niedrogiem, lecz przyzwoitem i dałem sobie tydzień, aby się rozejrzeć i już drugiego dnia wiedziałem, że droga poprowadzi mnie do Kaliforni, jak wszystkich.

Nie zamierzałem jednak zostać poszukiwaczem złota, bo do fizycznej pracy mnie nie ciągnęło, a wiedziałem już bardzo dobrze, nauczywszy się tego poniekąd na wojnie, że majątek najlepiej rośnie, gdy jest pochodną od pracy, nie pracą samą.

Na oregoński szlak wracać nie zamierzałem, zaokrętowałem się więc na pokład „Flying Cloud”, najpiękniejszego okrętu jaki w życiu widziałem, i popłynąłem w trwający prawie pół roku rejs z Nowego

Jorku do San Francisco, dookoła przylądka Horn, i gdy wszyscy pasażerowie trzęśli się pod pokładem znużeni chorobą morską, ja patrzyłem w straszne, potworne fale, jakich nie widziałem był nigdy wcześniej i później, i myślałem, czy może należało zostać marynarzem?

Marynarzem jednak nie zostałem, chociaż rejsu tego nie zapomnę do końca życia, ileż widziałem wtedy świata i jego cudów!

W tem miejscu musiałem przerwać pisanie, albowiem do piwnicy Lesisza zaszedł pan Wokulski i widać, że przybył w pośpiechu, nawet bez palta, podejrzewam, że ktoś mu musiał donieść, że z domu wyszedłem. Troszczył się, chodził dookoła mnie jak na paluszkach, ależ panie Rzecki, czy to na pewno rozsądne, w pańskim stanie tego węgryna, potem widziałem, że czekał, czy go do stołu nie zaproszę, zamiast tego przeprosiłem go równie uniżenie, co szczerze, że mam coś bardzo ważnego do napisania, zrozumiał, nie obraził się, uklonił się i odszedł. O testamencie nie rzekłem mu ani słowa, oczywiście, obraziłby się tylko, a na trupa już się obrażać nie będzie wypadało.

Marynarzem więc nie zostałem, w San Francisco kupiłem parę mułów i wywiedziałem się, czego tym oszalałym od chciwości ludziom potrzeba. Wtedy zdawało mi się, że podobnego szaleństwa w życiu nie widziałem, dziś wiem, że mnie opanowało tak samo, tylko nauczyłem się, że złoto skuteczniej wydobywa się z ludzkich kieszeni, niż ze złotonośnego piasku. Po roku miałem dwadzieścia mułów, poganiaczy i dwa sklepy, w Sacramento i na Portuguese Flat, potem trzeci wzdłuż Siskyou Trail, i sprzedawałem wszystko, od mis i łopat, po proch, whisky i broń. Z czym nie chciałem mieć nic wspólnego, to niewolnicy, ladacznice i wyszynk, chociaż alkohol oczywiście sprzedawałem, najchętniej jednak w hurcie. Moja rezerwa wynikała przede wszystkim z oporów natury moralnej, ale też z dbałości o dobro interesu: ze wszystkich sił unikałem sytuacji, w których łatwo o przemoc. It's just bad for business.

Złoto się skończyło, ale zanim się skończyło, byłem już dość bogaty, względnie znany w okolicy i szanowany. Za to ostatnie wdzięczność winien jestem dobremu Minclowi, bo to przecież on nauczył mnie kupieckiej staranności i rzetelności, na której opiera

się dobre imię, z którego wynika kredyt, z kredytu zaś bogactwo, z bogactwa reputacja, z niej dalszy kredyt.

Złoto się więc skończyło, interes nie rozwijał się już tak szybko, jak gdy jeszcze było, ale trwał i lubiłem i do dziś lubię tych kilka lat mojego życia, w tym dobrze służącym mi klimacie, potem przenieśliem się do pięknego domu w okolicy Sonomy, gdzie zainwestowałem trochę w winnice pana Haraszthy'ego, pierwszego Węgra, jakiego napotkałem od czasu ucieczki do Turcji, z którym całkiem się polubiliśmy, gdy tylko dowiedział się o mojej służbie wojskowej i stopniu porucznika węgierskiej piechoty i życie, chociaż samotne i z raną w sercu po mojej Biddy, było całkiem dobre.

Może gdybym się wtedy ożenił z jakąś dobrą, skromną katoliczką, może zostałem tam w końcu, mimo wojny i może tamta wojna nie porwałaby mnie tak, jak porwała.

Bo porwała, gdy przyszła. Rzuciłem się na tę wojnę jak wilk na stado owiec, port San Francisco miał dla Unii oczywiście strategiczną rolę i ktoś tę rolę musiał obsłużyć, i byli to kupcy, markietani jak ja. Na wojnie z człowieka zamożnego stałem się bogaczem. To ja kupiłem tanio i sprzedałem wojsku drogo konie, które na swoich grzbietach poniosły pustoszących Georgię żołnierzy Shermana, sprzedałem też wojsku wszystko inne, co do wojny jest potrzebne i szedłem wtedy za nimi, wszystko widziałem na własne oczy i nie mogę, nigdy nie mogę powiedzieć, abym nie wiedział, co uczyniło mnie bogaczem.

Nie chcę więcej o tem pisać.

W ogóle nie chcę już więcej pisać, chcę za to zamówić jeszcze jedną flaszkę węgryzna, wiedząc doskonale, że nie powinienem. W testamencie całą resztę majątku zapisałem brodatemu studentowi medycyny; szkoda, że nie zobaczę, co z nim zrobi.

Mam nadzieję, że czekasz tam na mnie, Biddy.

22 lutego 1880 roku, niedziela, w Warszawie

Zeszyt ten kupiłem wczoraj w księgarni Okońskiego na Miodowej, w zasadzie przypadkiem, wcale tego zakupu nie planując,

do Okońskiego zaszedłem tylko z nawyku, zobaczyć, czy jakich nowych książek nie ma. Jest piękny, z szlachetnego papieru, oprawny w ciemnobordowy safian, a subiekt u Okońskiego zaproponował, że nieodpłatnie może mi monogram wytłoczyć na okładce, jak jakiemuś hrabiemu, i dobrze, niech będzie.

Pióro, którym to piszę, przywiozłem jeszcze z Ameryki, nowoczesne, jakby znak naszych tak szybko zmieniających się czasów: nie trzeba go maczać co rusz w kałamarzu, albowiem atrament znajduje się w środku tego zmyślnego wynalazku.

Od czego jednak zacząć, skoro się już pisać postanowiło, a człowiek do pisania nienawykły, po całym długim życiu, w którym na takie rzeczy nie było czasu? Zadałem to pytanie wczoraj znajomemu pisarzowi nazwiskiem Głowacki, co do Kurjera pisuje Kronikę Tygodniową i ten młody, a zdolny człowiek powiedział tylko: od pierwszego, co panu do głowy przychodzi, panie Rzecki.

Niech więc będzie. Co pierwsze mi do głowy przychodzi?

Może głód w Irlandji i na Szląsku, lato mokre i zimne było, kartofle zgniły, a oni tam nic innego nie sadzą, więc teraz głodują, tyfus, ludzie podobno z głodu chwasty jedzą. Ale cóż ja na to mogę poradzić?

Dotykam jedynej pamiątki, co ją noszę na łańcuszku pod koszulą, co mi została po mojej Bidy, nic więcej nie ma, wspomnienie trupio zimnej dłoni. Kiedy ostatni raz napisałem, kiedy wymówiłem to imię inaczej, niż przez sen? Nikt nie wie, co mówię przez sen, chyba, żeby służba podsłuchiwała, w co nie chce mi się wierzyć, bo i po co mieliby. Więc nikt.

Ale nie chcę o tym pisać, ani o niej, ani o tym, com w gazetach wyczytał, głód w Irlandji i na Szląsku, to przecież nie są nawet moje własne myśli, tylko coś w Kurjerze przeczytanego, ktoś mi te myśli do głowy wsadza, i co mnie to jeszcze w ogóle wszystko obchodzi...?

Więc może występy Modrzejewskiej?

Byłem raz, kilka dni temu, chociaż prawie do teatru nie chadzam, bo i po co, więcej w ciągu mojego długiego życia widziałem niezwykłości, potwornych i piękniejszych, niż na scenie można

pokazać, ale jednak poszedłem, skoro wszyscy teraz idą oglądać wielką aktorkę, co z Ameryki wróciła. Sama Modrzejewska bardzo przystojna, nie tylko jak na jej wiek lat czterdziestu, ale cóż z tego? Widownia pełna, aż mi niezgrabnie było w tym tłumie, tę niedogodność lepiej niż jej występ pamiętam. Przeczytałem wczoraj recenzję Bogusławskiego w „Tygodniku Ilustrowanem” i tak samo, wydrukowane słowa przeciekły przeze mnie, żadnego nie zapamiętałem, wzruszyłem ramionami, co mnie to wszystko obchodzi?

A zatem, być może studenci, co mieszkają w mojej kamienicy.

Największy jest z nimi kłopot. Cóż to jest za towarzystwo! Piją, awanturują się, dziewczyny kuchenne bałamucą, daj im Panie Boże zdrowie i jak mówi Wirski, nic nie chcą płacić, a ja serca nie mam ich kazać wyrzucić, bo co o nich pomyślę, to jakbym trochę siebie widział, kiedym te trzydzieści z górą lat temu wyruszył z Warszawy, porzucając mojego dobrego Mincla, żeby już tak naprawdę nigdy nie wrócić, bo owszem, ćwierć wieku z okładem minęło i w końcu się człowiek do rodzinnego miasta, też odmienionego, z Ameryki wrócił, ale sam tak odmieniony, jakby nie wrócił się wcale.

Warszawę poznałem, ale samego siebie w niej — gdzie tam! Kto inny wyjechał, kto inny przyjechał, tylko nazwisko takie same, chociaż nawet z paszportem innem, bo amerykańskim. Gdyśmy z nieszczęsnym Katzem, daj mu Panie Boże, żeby jednak świętej pamięci, po cichu na Węgry wyjeżdżali — to obaj nędzarze, młodzi. Więc co ów biedny, młody subiekt wymykający się na wojnę z jedną koszulą na grzbiecie ma wspólnego z panem Ignacym Rzeckim — w paszporcie stoi Mr. Ignatius Recki — za którym ośmiu tragarzy biegło z ciężkimi walizami, gdy wysiadł na Dworcu Wiedeńskim, a było to przecież tylko niewielką częścią mojego dobytku, już nie mówiąc o majątku.

No ale, ale! Nie dość, że mi się tu, do pisania niewprawionemu, wdarła gramatyczna trzecia osoba, to jeszcze zacząłem od wspomnianych już studentów tę pisaninę, pierwszą w moim długim, pogmatwanym życiu. Mieszkają zatem na trzecim piętrze, od frontu i nie płacą.

Mnie tam ich rubelki niepotrzebne, do grobu przecież nie wezmę, chociaż to może not very business-like, tak myśleć, ale co mi teraz po business-like thinking, więc tam kiedyś poszedłem do nich incognito, wraz z panem Wirskim, wypytać jak to jest z tym, że wszyscy czynsz płacą, a tylko nie oni, ze zwykłej ciekawości.

Było to zaiste bardzo ciekawe doświadczenie, albowiem jeden z nich, najbardziej brodaty, wyłuszczył nam w istotnie ciekawym wykładzie, dlaczego on ani kopiejki czynszu zapłacić nie zamierza. Był to wywód o tem, że skoro społeczeństwo go nie zabiło przy urodzeniu — na co się wzdygnąłem, bo po co tak mówić? — to jest mu winne przynajmniej tyle za korepetycje, których udziela, żeby mógł zapłacić za dzielony z innemi dach nad głową, a skoro za korepetycje dostaje piętnaście rubli na miesiąc, za jedzenie biorą mu dziewięć, za pranie trzy, do tego musi jeszcze sobie opłacić mundur i wpis, a przecież uczy się, żeby zostać lekarzem, jak jego ojciec, który też w życiu niczego nie dorobił się i służyć temu społeczeństwu, to na czynsz po prostu nie ma i płacić go nie będzie.

Nie odzywałem się wtedy wcale, pozwalając mówić Wirskiemu. Studenci nigdy nie widzieli mnie na oczy, w ogóle starałem się w tej kamienicy nie pojawiać, żeby uwagi na siebie niepotrzebnej nie ściągać, Wirski sam zarządzał wszystkim, ta sytuacja jednak nieco mnie zainteresowała, bo też życie nauczyło mnie ciekawości, zapiszę to, spróbuję, tak jak zapisują rozmowy w powieściach:

— Drogi panie — zaczął Wirski, nie zdradzając mojego incognito — czyż nie jest jednak tak, że skoro właściciel tej kamienicy, który nabył ją za uczciwie zarobione pieniądze, ma prawo żądać od pana zapłaty za korzystanie z jego własności?

— Jego własności? — zaperzył się brodac. — A czy pan właściciel tej kamienicy sam ją zbudował? Nosił cegły, mieszał zaprawę?

— Nie, ale zapłacił pieniędzmi, które uczciwie zarobił pracując w inny sposób — ciągnął Wirski, nie ustępując. — Pieniądz jest ekwiwalentem ludzkiej pracy, czyż nie?

— Uczciwie? Panie Wirski, pan mi powiedz ile ta kamienica kosztowała — rzucił drwiąco student.

— Ja nie mogę o tym...

— Może pan powiedzieć — przerwałem łagodnie Wirskiemu, ciągle całkiem zaciekawiony, ale nie chcąc się zdradzać z tym, że to ja jestem rzeczonym właścicielem. — W końcu to była publiczna licytacja.

— Sto tysięcy rubli — rzucił mój zarządca dość niechętnie.

— Sto tysięcy rubli! Mój ojciec, jak już mówiłem, był lekarzem. Wiesz pan, panie Wirski, ile mu się udawało odłożyć na rok? Nie więcej jak trzysta rubli. Lekarzowi, co musiał tyle spędzić nad książkami czy w prosektorium, żeby móc ludzi leczyć. Pan sobie umiesz policzyć, ile mój ojciec musiałby oszczędzać, ciężko i uczciwie pracując, żeby sobie odłożyć sto tysięcy rubli i kupić uczciwie kamienicę?

Wirski stropił się.

— Trzysta trzydzieści trzy lata musiałby oszczędzać — odpowiedziałem nie dając nic po sobie poznać.

Nie zawsze byłem taki szybki w rachunkach, dopiero w Kalifornii nauczyłem się tajemnej metody, którą pokazał mi pewien we wschodnich naukach uczony Chińczyk, którego zatrudniłem w mojej faktorii na Portuguese Flat, ledwie mówiący przy tem po angielsku, ale rachujący jak nikt i teraz potrafię rachować w pamięci bez liczydła wielkie nawet liczby.

— Właśnie! — student aż uniósł się z podniecenia. — Trzysta trzydzieści lat! Nawet z najlepszych lekarzy pomocą tyle ludzie nie żyją, nieprawdaż? I skoro mój świętej pamięci ojciec, pracując ciężko, a wcześniej wyuczywszy się, mógł odłożyć tylko trzysta rubli rocznie, to jakim cudem ktoś inny może uczciwie, podkreślam, uczciwie zarobić sto tysięcy? Czy pracuje trzysta razy ciężiej niż mój ojciec? Nie sądzę, dzień i noc dla każdego trwają tyle samo! Jak ktoś ma sto tysięcy, żeby kupić kamienicę, bo albo pieniądze odziedziczył...

— Pan Rzecki, którego znam od lat, niczego nie odziedziczył, do wszystkiego doszedł własną, ciężką pracą, panie...

— Trzysta razy cięższą niż mój ojciec, co się na śmierć zaharował?! Jak nie odziedziczył, to pewnie ukradł, bo ja panu gwarantuję, że takich pieniędzy uczciwie zarobić się nie da, tylko wyzyskać na krwawicy...

— Panie — zaczął Wirski groźnie ruszając w stronę studenta. —

Pan chcesz obrazić...

Przerwałem mu znowu, delikatnie kładąc rękę na ramieniu.

— Daj pan spokój, panie Wirski. Chodźmy.

I poszliśmy, nie rozstrzygnąwszy nijak tej nierozstrzygalnej jak mi się zdaje rozmowy, w której na jednej szali waży się własność prywatna i prawo do niej, a na drugiej sprawiedliwość i równość człowieka, a czyż nie w imię tego właśnie wyruszyliśmy pamiętnego roku 1848 z Katzem na Węgry?

Poszliśmy więc jednak, Wirski do swoich spraw, ja zaś na obiad i wino do piwnicy Lesisza na Krakowskim, gdzie jadam regularnie, chociaż jest to raczej winiarnia, nie restauracja, jednak zjeść prostego jadła też można. Jadam tu więc rzadko w towarzystwie, bom przez te schyłkowe lata mojego życia wielu prawdziwych znajomości w Warszawie nie zawiązał, przynajmniej nie takich, by z nimi warto było spędzić wieczór. Usiadłem więc sam i zjadłszy gotowanej golonki z ziemniakami i kapustą, zamówiłem sobie jeszcze węgryna, rozłożyłem swój notes, wyciągnąłem moje obywatelskie bez kałamarza pióro i tak oto tu sobie siedzę i piszę, o pierwszym, co mi przychodzi do głowy.

A dlaczego piszę?

No któż to wie. Żony nie mam, dzieci nie mam, pieniędzy do grobu nie wezmę, a kiedy majątek odumrę, to i kapitał, i dobra nieruchome i nawet rzadkie pamiątki po wielkim Napoleonie, com je za bezcen kupił, natychmiast stracą cechę bycia moimi, bo martwy już nic posiadać nie będę. Pozostawiwszy je więc, nie pozostawię nic, bo przechodzić z rąk do rąk będą, jak to ma majątek w zwyczaju, i nic tych dóbr nie będzie już łączyć z człowiekiem, który jednak żył, i to szeroko, czyli ze mną. Może więc tą pisaniną coś po sobie zostawię, czego związku ze mną nie będzie mogła podważyć żadna sprzedaż, żadna transakcja?

Może dlatego piszę.

W mojej kamienicy, ciekawa rzecz, mieszka też pewna kobieta, samotna - O. Bratańska - i zabawna rzecz, podobno odrzuciła zaloty jednego z tych moich studentów, chociaż wcześniej mieli się ku

sobie, argumentując, że jej kot go nie lubi. Ludzki obyczaj dziwny jest nadzwyczaj, ale to tylko taka ciekawostka.

Wracając więc do brodatego studenta, którego nazwiska nie umiem sobie przypomnieć, zawsze wylatuje mi z głowy, to zapisuję tę rozmowę, bo coś mi te jego przemyślenia, bezczelne na pozór, nie dają spokoju.

I wiadomo, że pierwszy mój odruch był wobec tyrady młodego medyka wrogi, jak przystało na prawdziwego przecież self-made mana, jak się mawiało w Ameryce, chociaż tak prawdę mówiąc każdego człowieka zrobili raczej rodzice jego z udziałem dobrego Pana Boga albo sił natury, nie on sam, bo jakże...? Byłem jednak kimś, kto odważnie szedł ścieżką tego, co za oceanem określają jako przynależne każdemu wolnemu człowiekowi prawo do pursuit of happiness, następujący zaraz po życiu i wolności, chociaż tak naprawdę wcale nie za szczęściem gonią, lecz za pieniądzem, a to jednak, jak sam wiem najlepiej, nie jest to samo.

Mój pierwszy więc odruch, gdy te słowa o nieuczciwości usłyszał, to wezbrana nagle fala wewnętrznego oburzenia, jak ten łądak śmie, czym wszystkiego nie wywalczył sam, swoim własnym nakładem, czym nie odmawiał sobie wszystkiego, żeby pieniądz mógł krążyć i pracować, każdy zarobiony grosz, cent, talar czy dolar zaprzęgając do pracy? Czym nie zaczął jeszcze na Węgrzech, chociaż wielu mówiło, że nie przystoi, żeby porucznik węgierskiej piechoty pełnił również rolę na poły oficjalnego markietana, ale cóż mi tam ich gadanie, skoro to za moich wysiłków sprawą wojsko moje nie chodziło ani bose, ani głodne. A że sam przy tem zarabiałem, to aby coś złego?

Może i coś złego, ale jak to rozważyć? Gdybym na tym markietanństwie wtedy nie zarabiał i każdego zarobionego grosza czy halerza do pracy nie zaprzęgał, to jakże miałbym znaleźć w sobie siłę i ducha do tego, by ten niełatwy przecież kawałek chleba, o którym mówili, że oficerowi nie przystoi, jednak ciągnąć, ku dobru i mojemu własnemu, ale i moich ludzi?

Ale może w tym zaprzęganiu do pracy właśnie kryje się to, co ów młodziak brodaty określił kradzieżą? Może powinienem był ten

grosz, którym zarabiał żywiąc i odziewając te moje wojsko nieszczęsne, również im wszystko oddać?

Jakże to rozstrzygnąć?

24 lutego 1880 roku, wtorek, w Warszawie

Wczoraj nie pisałem, nie miałem na to siły, nie wyszedłem w ogóle, obiad kazałem sobie podać w mieszkaniu i próżnowałem dzień cały, rozmyślając o tem, czy moja kamienica na pewno jest moja nie tylko w sensie zapisu w księgach, ale również w sensie moralnym, zdaje się jednak, że filozoficzne rozważania takie przerosły możliwości mojego w końcu niezbyt kształconego umysłu, wieczorem zaś, jak zwykle w poniedziałki, udzielałem przez trzy godziny lekcji języka angielskiego. Co do kamienicy zaś, to uznałem w końcu, że zadowolę się tem, że posiadam kamienicę ową w sensie formalnem, zakupiwszy ją swojego czasu za sto tysięcy rubli od Łęckich, kwestię moralną pozostawiwszy nierozstrzygniętą — a i przecież to moje jej posiadanie ma charakter zgoła poniekąd dobroczynny.

Wstyd trochę tak o sobie samym pisać, samemu sobie pochwały wystawiać, ale przecie skoro tylko udało się nam z Wirskim wyrzucić tę przekłętą baronową, to i miejsce się zrobiło i w mieszkaniu po niej przyjąłem i zapewniłem skromne utrzymanie ubogim weteranom naszych wojen ostatniego półwiecza, nie ujawniając przed nikim, ani przede wszystkim przed mojami podopiecznymi własnej tożsamości. Było ich pięciu: trzech starców, urodzonych jeszcze w poprzednim stuleciu, weteranów 1830 roku, jeden nawet dość młody inwalida, który pod Siemiatyczami stracił obie nogi i któremu do mieszkania po baronowej wziął prosto z ulicy, na której zebrał, i jeden mój dawny towarzysz węgierskiej kampanii, który wzrok stracił, gdy mu muskiet z łufą błotem zatkaną w rękach wybuchł. Opiekuje się nimi dalej pani Wokulska, chociaż po ślubie już oczywiście żadnego wynagrodzenia za tę pracę ode mnie nie potrzebuje, czyni to jednak, bo powiedziała, że jest to winna i mnie, i naszym podopiecznym.

Sprawy, o której wczoraj napisałem na samym końcu, nie

udało mi się więc rozstrzygnąć. Co wiem jednak na pewno, to gdybym wtedy, w Węgrzech jeszcze nie zgromadził tego skromnego kapitału, to nie udałoby mi się ująć do Turcji, kapitał ów znacznie uszczupliwszy łapówkami, ale coś zostało, a tym co zostało w miarę możliwości jałem obracać, gdy spędzaliśmy ten straszny i mroczny czas stojąc internowani w Szumli, w europejskiej części rzezczonego kraju.

Najpierw zatrzymano nas w koszarach, oficerom wyższemu dano mieszkania na mieście, potem i nam pozwolono, jeśli kto chciał, zamieszkać po domach prywatnych i tak zakwaterowaliśmy się z pewnym wąsatym i hardym szlachcicem rodem z Podola, nazwiskiem Miłkowski, wtedy porucznikiem jako i ja, z którego się później zrobił wielkiego formatu pisarz i działacz narodowy, o czym rzecz jasna pisać bym nie mógł, gdybym kiedykolwiek zapiski te moje chciał ujrzeć wydane drukiem, żaden cenzor by na to nie pozwolił, ale nie, nie dbam o to, piszę to jeno dla siebie samego, nawet nie dla potomnych, bo mi życie potomstwa nie dało, a jedyna moja wielka miłość pozostała za oceanem. Ale to znowu dygresja, po której znać pióro niewprawne, pozbawione dyscypliny, jaką ojciec mój próbował mi wpoić i wpoił przecie, razem z miłością do Bonapartych, niech ostatniemu z nich ziemia lekka będzie i niech mi many mojego ojca wybaczą, żem i o Bonapartych nieco zapomniał.

Wracając więc do Szumli: tamśmy z panem Miłkowskim wyprowadziwszy się z koszar zamieszkali u pewnego Bułgara w izbie z kominem, gdzie zaraz urządziliśmy sobie coś, co pan Miłkowski, ciekawszy lokalnego życia, nazywał mangalem, to jest wielką misą, w której w popiele układało się węgle, służące i do ogrzewania, i do gotowania jadła. Mieszkał też z nami pan Zamojski, owszem, i nie było nam tam źle: było ciepło, było co jeść, tyle że wielcy panowie, to jest Zamojski i Miłkowski, nudzili się pasjami, nudę zabijając albo tym, żeby izbę oporządzać na błysk, albo co dobrego ugotować, co mi przypomina taką historię, jak to pan Zamojski kury chciał ugotować, ale nie miał serca ich zabić i ja też nie miałem, a każdy z nas bagniet wbił w ludzką pierś i brzuch nie raz, jak to w piechocie; w końcu poprosiliśmy dwie Bułgarki o to morderstwo i dokonało się.

Jednak panowie nudzili się. Strugali coś w drewnie, pisali pamiętniki, jakiś ręcznie odpisywany dziennik redagowali z zapalem moim zdaniem godnym lepszej sprawy, politykowali, zakładali jakieś towarzystwa demokratyczne albo liberalne, ale wszystko na nic, zabijana nuda nudzi jeszcze bardziej, inni więc po prostu siedzieli na sposób turecki w kawiarniach, pijąc kawę i paląc nargile, albo nawet biorąc się do opium i haszyszu, bo też bardzo doskwierał im wtedy brak kobiet, a ja, wiedząc to, nudzić się nie potrafiłem i zacząłem znowu próbować obracać tym moim kapitałem mocno nadgryzionym przez łapówkę, dzięki której niewoli austriackiej uniknąłem.

Z Turkami żadnych stosunków utrzymywać się nam nie dało, bo oni na chrześcijan nie zważali w ogóle, ale z Bułgarami jakiś handel kwitł, i o ile wszyscy się nim po trochu zajmowali, zamieniając dziesięć cebul na kawał płótna, mnie udało się pieniądze zaprząć do pracy, oczywiście nie na wielką skalę, ale chociażby na tyle, żeby straty po ujęciu z niewoli odrobić, ale ani przez chwilę nie przestawałem zadawać sobie tego pytania: gdzież podział się ten skromny subiekt ze skromnej pracy u dobrego Mincla, zadowolający się byle czym, byle żyć w sposób spokojny i uporządkowany? Co zmieniło się we mnie, czy charakter człowieka, jego wewnętrzna struktura, w ogóle może się zmienić? A jeśli tak, to od czego, cóż wydarzyć się musi, żeby ta zmiana zaszła? Czy był to jakiś nagły moment przełamania, gdy wojsko swoje widział bez butów i głodne, czy raczej powolna przemiana w tym kierunku, by z tego człowieka, gotowego zadowolić się byle czym, stałem się tym, kim się stałem?

Siedząc tu teraz w podeszłym już wieku i kreśląc te słowa, zastanawiam się, czy mógłbym żyć inaczej? Przecież nie zawsze byłem tym, kim się stałem, gdy posłuchawszy w Southampton młodzieńczego księcia Czartoryskiego zdecydowałem o emigracji za ocean?

Mogłem przecież wrócić również wtedy w końcu z tej tułaczki, wrócić jakoś może do Warszawy, z powrotem do pracy u Mincla i dać się wciągnąć w te biedne, ale uporządkowane tryby rytuału, szacunku i tego, w com sam przecież za młodu wierzył: po co narażać życie dla groszowych zysków?

Ale może najpierw należałoby napisać, jak to się w Anglii znalazłem.

Turcy nas już trzymać nie chcieli, chyba, żeby który na islam jak generał Bem przeszedł, co niezbyt mi się uśmiechało, nam się też wśród ciemionych od Turków Bułgarów zanadto żyć też nie chciało, bo za bardzo przypominało nam o naszej rozgrabionej przez zaborców ojczyźnie i żaden inny kraj w Europie nas nie chciał, więc Anglja. Pan Miłkowski przekonywał, że pobyt na Zachodzie pozwoli jakby zatrzeć winę uczestnictwa w wojnie węgierskiej i do ojczyzny powrócić, na co wtedy jeszcze liczyłem był.

Statek wypłynął z Warny, był to parowiec z bocznymi kołami, z załogą turecką i kapitanem Turkiem. Pierwszego dnia wszystkich chwyciła choroba morska i tylko mnie jednego nie, chociaż pierwszy raz nogę postawiłem na pokładzie morskiego statku, wcześniej jeno wiślanymi skutami żeglować mi się parę razy zdarzało. Najgorzej chorował pan Miłkowski, bo do samego końca, innym choroba minęła po dniu albo dwóch. Dało mi to wiele do myślenia na temat tego, do czego jest człowiek w życiu powołany? Czybym, narodziwszy się w mieście i kraju nic z morzem nie mających wspólnego, mimo tego narodził się na marynarza i tylko z niewiedzy o tem przeznaczonym mi losie przyszło mi zostać subiektem, oficerem i markietanem, a wreszcie teraz tułaczem?

Najpierw stanęliśmy w Bosforze, potem popłynęliśmy sześć dni na Maltę i tam zaczęły się targi, kto, jak i gdzie się uda. Anglicy przyjęli nas bardzo dobrze, owszem, zakwaterowali nas w pustym aktualnie budynku służącym zwykle kwarantannie załóg, przybывających z terenów objętych zarazą. Z Malty ruszyliśmy jednak dalej, na pokładzie statku żaglowego z angielską załogą i podróż do Southampton miała nam zabrać miesiąc — wiatr jednak nie sprzyjał, i przez parę dni okręt nasz co rusz tylko skręcał to w jedną, to w drugą stronę a wyspa, jak się później okazało o nazwie Pantelleria, ciągle pozostawała w zasięgu naszego wzroku, co skutecznie popsuło nam wszystkim humory, popsuly się jeszcze bardziej, gdyśmy w końcu którejś nocy usłyszeli piekielny huk i okazało się, że statek nasz wpadł

na skały przy brzegu Afryki.

Wspomnienia z tego momentu mam już bardzo zamglone, woda wlewała się do środka, kapitan zbiegł na szalupie, majtkowie angielscy wołali nas na pomoc do pomp, do łodzi była kolejka i kiedym się znalazł w ostatniej, to znalazłem się tam z pustymi rękami i prawie cały mój skromny kapitalik zbudowany z markietanstwa i wielkim szczęściem ocalony w Turcji poszedł na dno razem ze statkiem, który na rzeczonyj skale rozpękł się na pół chwilę po tem, jak łódź zabrała ostatnich majtków i pasażerów.

Na afrykańskiej ziemi zostałem z niczem, podobnie jak wszyscy moi towarzysze, ale jakimś sposobem ducha nie straciłem. Żyliśmy tam przez kilka tygodni jak Adam i Ewa w raju, o nasze wyżywienie dbał konsul kraju, którego już nie pomnę, z żagli ściągniętych z wraku sporządziliśmy szalasy, towarzyszyliśmy też Arabom w polowaniach na przepiórki. I co pamiętam dokładnie, to jak siedząc na plaży, na brzegu ciepłego morza, zupełnie goły myślałem: może nic więcej nie trzeba? Może nie trzeba Polski, rewolucji, Bonapartych, może nie trzeba fortuny, może nie trzeba nawet spokoju i bezpieczeństwa, jakie mogła mi dać praca dla Mincla, może wystarczy po prostu być, siedzieć w cieniu nabrzeżnej skały na ciepłym piasku, dla ochłody zanurzyć się w wodzie, acz tylko po pas, bo pływać nie umiałem.

W tym miejscu muszę już przerwać moje zapiski, albowiem jestem człowiekiem systematycznym i czas już udać się na spoczynek, a czeka mnie jeszcze droga do domu.

25 lutego 1880 roku, środa, w Warszawie

Mróz okropny, jakby zima wcale nie zmierzała ku końcowi, Wisła skuta lodem, chociaż ostatnio przy przeręblu lód się załamał pod jakąś służącą, co nabierała wody i utopiła się, nieszczęsna.

Nie potrafię zdecydować, czy pisać tu tylko wspomnienia z lat dawno minionych, czy też powinienem zapisywać tutaj jakieś ślady mej monotonnej w swym dostatku codzienności? Zdaje mi się, że nie ma nic nudniejszego niż życie człowieka, który ma już więcej, niżli

pragnie.

Byłem wczoraj w salonie sztuk pięknych Ungra, w domu hrabiego Krasińskiego przy Niecałej, obejrzeć obraz Siemiradzkiego „On i ona”, o którym z wielką pasją opowiadał mi w poniedziałek Wokulski, który wciąż od dobrych trzech lat przychodzi do mnie na lekcje angielskiego języka, którym włada już całkiem niezłe. Wokulski jest człowiek przyzwoity, co jak i ja na wojnie majątku dorobił się. Obraz wystawion był w oświetleniu elektrycznym, ludzie się tłoczyli, chociaż wstęp wynosił piętnaście kopiejek, gdy dopchałem się w końcu okazało się, że nie stanowi sobą niczego specjalnego i wyszedłem rozczarowany, samego Wokulskiego napotkawszy zresztą potem na ulicy, gdym do sań wsiadał — ten porwał mnie, że zaprasza do restauracji w nowootwartym Hotelu Brühlowskim na świeże ostrygi, nie bardzo mi się chciało, ale entuzjazmowi człowieka szczęśliwego trudno odmówić. Ostrygi jeść się nauczyłem dawno temu, w Bostonie, tam bardzo popularne są. Siedzieliśmy więc do późna, a Wokulski, podochociwszy sobie nieco, zaczął mi opowiadać o tem, jak swojego czasu rozum stracił dla pewnej damy z towarzystwa, nie wartiej, jak sam mówił, aby nawet jej nazwiska wspomnieć i jak tylko dzięki temu, że do mnie na lekcje przychodził odkrył, jak marnego charakteru, ale i inteligencji była to osóbką — nie wiedząc, że zalecający się do niej Wokulski owszem język jako tako zna, szydziła zeń z wyższością, na jaką stać jedynie arystokratów.

— Gdybym wtedy, mój kochany panie Rzecki, nie trafił na pańskie lekcje, dzisiaj może dalej biegałbym z wywieszonym jak pies jęzorem za tą nic nie wartą kokietką i nawet bym nie dojrzał, jaki to diament w pańskiej kamienicy się chował — mówił, mając na myśli swoją żonę, primo voto Stawską, z którą jedyną do ożenku przeszkodę, to jest kwestię nieznanых losów jej poprzedniego męża, bez trudu rozwiązał pojechawszy za jakimiś interesami do Paryża.

Siedzieliśmy więc z Wokulskim do późna, opowiadał mi o interesach, jakie gnają go ciągle do Paryża i Londynu wraz z rosyjskimi kupcami, o tym, ile kupił nafty amerykańskiej i z jakim zyskiem sprzedał Bieleckiemu, co skład lakierów ma na Chłodnej,

o jakichś wynalazkach, co rzekomo widział w Paryżu, a mnie zdało się, że od szampana, cośmy go do tych ostryg pili nieco miesza już w głowie, w każdym razie im więcej o swoich interesach mi opowiadał, tym więcej myślałem o piasku afrykańskiej plaży, na której wraz z panem Miłkowskim i resztą tułaczy czekaliśmy na ratunek prawie trzydzieści lat temu, o czym pisałem wczoraj.

Pamiętam to dokładnie, bo zostały te pytania, które wtedy sobie zadawałem ze mną do dziś, kiedy tak znowu siedzę przy stole w piwnicy u Lasischa. Nikt tego poza mną czytał nie będzie, chyba, że po mojej śmierci, ale i wtedy pewnie też nie. Widziałem dwadzieścia lat temu w San Francisco, jak wynoszono rzeczy z mieszkania bezpotomnie zmarłego na apopleksję kupca nazwiskiem, jeśli dobrze pamiętam, Schneider — po rzeczy wartościowe zgłosili się jacyś uwzględnieni w testamencie spadkobiercy, a papiery ktoś wyniósł i zostawił na ulicy, podniosłem jeden z jego zeszytów i przewertowałem szybko, stojąc na ulicy w kalifornijskim słońcu, i było tam całe życie tego człowieka, dzień po dniu spisane, odrzuciłem ten zeszyt nagle, pamiętam, zdjęty trwogą, jakbym trzymał zimną dłoń trupa.

Tyle i ze mnie zostanie, z tej pisaniny tutejszej, której nikt nie przeczyta. Może przynajmniej bonapartystowskie memorabilia ktoś uszanuje, bo przecie nie mało warte.

Wracając więc do tego dziwnego czasu na afrykańskiej plaży, nie pomnę już ileśmy dokładnie na wybrzeżu spędzili, cały ten czas próżnowałem, aż w końcu przyплыła po nas angielska fregata, odstawiła nas z powrotem na Malte, gdzieśmy mieli nieco więcej czasu na to, żeby co pozwiedzać, ja jednak nic zwiedzać nie chciałem, bom się postanowił uczyć języka angielskiego od jednego z marynarzy, który mi w tej nauce dopomagał niczego nie chcąc w zamian, najwyraźniej samotny bardzo, i tak się złożyło, że zaciągnął się na ten sam piękny parowiec, który nas już bez większych przygód zawiózł do samego Southampton, gdzie stopę na ziemi angielskiej postawiwszy, podstawowymi zwrotami już się posługiwałem. Coś musiało się we mnie wydarzyć wtedy, na Węgrzech, coś musiało się przełamać, gdym patrzył na nędzę moich żołnierzy i postanowił uznać ją za moją własną

odpowiedzialność, i czego zrodziła się potrzeba działania, tylko do dziś nie wiem, na rzecz czyjego dobra, wspólnego czy własnego?

W rzeszonym Southampton zakwaterowano nas w wytwornym hotelu, gdzie, jako obdartus bez grosza przy duszy, czułem się bardzo nie na miejscu, wśród ludzi, którzy przebiegali się trzykrotnie w ciągu dnia, strój odpowiedni posiadając na każdą porę i okazję, i tam w końcu spotkaliśmy wspomnianego już przeze mnie wcześniej księcia Władysława Czartoryskiego, młodego, szlachetnego pana o twarzy dziecięcia.

— Patrz pan, panie Rzecki — mruknął Miłkowski, widząc księcia — takie to paniątko, rade z tego, że go Pan Bóg dobry stworzył, a poza tym to chyba nic o bożym świecie niewiedzące.

Mnie jednak wydał się sympatycznym jak na arystokratę, a i propozycja mnie zainteresowała: który z nas wybierze się do Ameryki, ten będzie miał i podróż opłaconą, i otrzyma jakąś kwotę na sam początek pobytu w Ameryce. Tym, co zostają, przyznana jest bardzo szczupła zapomoga, a potem niech sobie radzą sami.

Nie wahałem się ani chwili. Pamiętam tę chwilę dokładnie, jakby się wydarzyła wczoraj: podniosłem rękę jako pierwszy, po mnie wielu innych, ale ja wiedziałem: dla mnie nie ma przyszłości na tem kontynencie. Księcia nigdy więcej nie spotkałem, acz wiem, oczywiście, że niezmordowanie służył i dalej służy sprawie polskiej w tym właściwym arystokracjom stylu, gdzie sprawy polityczne traktuje się jak jedną wielką pasję, które szlachetnie urodzonemu wypada posiadać. Polska więc owszem, tak samo jak wyścigi konne, polowanie na bażanty albo yachting w jakimś klubie, nigdy ze szkodą dla własnej fortuny i nazwiska. Ale niech tam, to osobny przecież jest gatunek człowieka.

Nie wahałem się zatem. Ameryka obiecywała nowość, pokój, wolność — i nie dotrzymała tych obietnic, dlatego piszę te słowa u Lesisza w Warszawie, a nie na przykład w Parker House w Bostonie.

Wtedy jednak oczywiście nie wiedział, co przyniesie los, ale zmiana, która dokonała się we mnie na Węgrzech, wypełniła mnie swoją nieodpartą logiką: muszę działać, nie mogę gnuśnieć

i dwa tygodnie później, wyposażony tak, jak obiecywał książę Czartoryski, zaokrętowałem się w Liverpoolu na pokład imponującego bocznokołowca linii Cunard Line, noszącego wiele obiecującą nazwę „Canada”.

Był to piękny statek, a jam już wtedy nauczył się piękne linie okrętów doceniać, na niejednym pokładzie wiele czasu spędziwszy. Miał wąski, smukły kadłub żaglowca, trzy maszty, pomiędzy nimi komin i dwa potężne, boczne koła, za których sprawą do Halifax w Kanadzie dotarliśmy po niecałych ośmiu dniach, by w Nowym Jorku znaleźć się kilka dni później. Znużony wcześniej tak dłużącą się podróżą z Warny do Southampton, byłem pod wielkim wrażeniem tempa tej żeglugi, pamiętam to znakomicie. Gdy ćwierć wieku później wracałem do Europy na pokładzie liniowca Oceanic, wiele się zmieniło w samym statku, który był o wiele wygodniejszy i wykwinniejszy, zwłaszcza dla zamożnego pasażera, i zamiast bocznych kół posiadał podwodną śrubę — ale przecież sama podróż nie trwała jakoś wiele krócej.

Nowy Jork przytłoczył mnie. Razem z trzema braćmi Polakami zakwaterowaliśmy się w ohydnej ruinie na Five Points, gdzie ulicą władali irlandzcy bandyci, przezywający się Martwymi Królikami, trzeba było bardzo uważać, aby nie zostać obrabowanym albo zabitym, więc uszczuplając mocno niewielką sumkę, jaką wtedy dysponowałem, szybko nabyłem niewielki pistolet z obrotowym cylindrem mieszczącym proch i kule na pięć strzałów i jakoś się z tą przemyślną, wielostrzałową bronią polubiwszy, nie rozstawałem się z nią w ciągu całego mojego pobytu w Ameryce i przywiozłem nawet ze sobą z powrotem do Warszawy; tu jednak odłożyłem do szuflady i więcej anim na nią nie spojrzał, jakby to do tamtego świata, nie tego należała.

26 lutego 1880 roku, czwartek, w Warszawie

Byłem dzisiaj w ratuszu na odczycie młodego pisarza, pana Henryka Sienkiewicza, który opowiadał o swoich doświadczeniach

z Ameryki — tylko po to poszedłem posłuchać, wyszedłem zaś rozczarowany, bo szybko się okazało, że pan Sienkiewicz po prostu zmyśla. Życzliwi powiedzieliby może, że tylko koloryzuje, ja jednak, spędziwszy w Ameryce ćwierć wieku, znam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że ów młody pisarz po prostu łże. Czyżby na tym miała polegać literatura, żeby opowiadać bajdy a jeszcze udawać, że to się naprawdę wydarzyło?

Oczywiście nie odezwałem się ani słowem, ale wyszedłem głęboko zniesmaczony i sam już nie wiem, dokąd mnie te linijki ręcznie pisane mogą zawieść. Nie czuję się dziś najlepiej, zamówiłem do kolacji butelkę węgryzyna, coś mnie jednak w piersi ścisną, ale i tak piszę.

Wczoraj musiałem to skrobanie w zeszytach przerwać, albowiem u Lesisza zdybał mnie znowu pan Wokulski, któremu najwyraźniej nie dość było mojego towarzystwa, a i mnie on jest całkiem miłym, i zdaje się, że do mojej ulubionej winiarni nie zaszedł do końca przez przypadek.

Zaprosiłem, przysiadł się i zaczął mnie delikatnie, z wielkim wdziękiem namawiać na interes: otóż zbankrutował niejaki Duszek, utrzymujący skład materiałów żelaznych przy Krakowskim Przedmieściu, pod numerem zdaje się 427, bo długi miał wielkie wobec Szustra; kuratorem zaś jest adwokat Krysiński, dobry znajomy pana Wokulskiego i jest to znakomita okazja, aby zainwestować kapitał na dobry procent, Szustra spłacając, bo temu trzeba gotówki, nie towarów wraz ze składem. Machnąłem w końcu ręką, chcesz pan inwestować, panie Wokulski, to pan inwestuj, dam panu na to dziesięć tysięcy, będzie co będzie. Jak pieniądz coś zarobi, to zarobi, jak stracę, to stracę, więcej mam tych rubli niżbym mógł do końca życia wydać, zbytków żadnych poza stołowaniem się w porządnym restauracjach mi nie trzeba, w karty grać nie chodzę, rozpuście się nie oddaję, o kobietach zapomniałem zupełnie, równie dobrze mogłyby dla mnie nie istnieć, chodzą więc po ulicach i zasiadają w salonach jako istoty owszem piękne, ale tak dalece dla mnie niezrozumiałe, że nawet nie śmiałybym się żadną zainteresować, chociaż niejedna przecie, od

kiedym do Warszawy wrócił, z wizytami się narzucała, niektóre nawet piękne, młode panny z dobrych, ale zbiedniałych domów, wdowy starsze i przystojne, ale dla mnie wszystko to nic.

Mówilem sobie: nie ciebie chcą, stary głupcze, lecz majątku, po co im sześćdziesięcioletni, do tego tak zmęczony życiem starzec. I przecież trudno je za to winić — ale i mnie trudno winić za to, że się w takie awantury nie chcę już na starość pakować. Majątek przepiszę na jakiś sierociniec, albo oddam tym studentom socjalistom, może to jest dobry pomysł! Ciekaw byłbym zobaczyć, cóż ten radykał brodaty by zrobił, gdyby spadł na niego taki dar jak grom z jakiego nieba, oto tutaj jest kapitał, a mam tego łącznie w przeliczeniu ponad milion rubli, czyli jakieś pół miliona dolarów, a więc mógłbyś za to, mój drogi brodaczu,łożyć na życie dziesięciu ludzi po dziesięć tysięcy rubli rocznie przez dziesięć lat i tych dziesięciu ludzi, łącznie z tobą, mogłoby się przez dziesięć lat oddawać jakiejś zbożnej pracy, czy będzie ona dla dobra Polski, czy ludzkości całej, to już sam sobie zdecyduj. No, ciekawym, co byś zrobił, mądralo, oddał wszystko od razu do partyjnej kasy, rozdał biednym, ufundował sierociniec, czy jednak potraktował taki dar od losu jako dar dla ciebie samego, ożenił się dobrze, kapitał zainwestował, kupił majątek nawet, dwadzieścia włók na przykład z murowanem pałacem, ciekawym co byś zrobił, ale przecież nigdy się tego nie dowiem, bo za życia nikomu tego oddać nie zamierzam.

Wokulski po tem, jakem się na dziesięć tysięcy rubli zgodził, zaczął mnie przekonywać do kolejnego interesu, tym razem z Fabryką Czekolady Parowej Wróblewskiego, który nowe maszyny kupuje i kapitału bardzo mu trzeba, i wejść można oczywiście na niewiarygodnie korzystny procent; tutaj już odmówilem grzecznie, bom do Warszawy przyjechał żyć i umrzeć jako bogaty emeryt, nie człowiek interesu.

Ale do kobiet jeszcze wracając, których się trochę garnęło do mnie, starca pozbawionego przymiotów jakichkolwiek poza majątkiem, jeśli mogę sobie na takie skakanie z tematu na temat pozwolić, a chyba mogę. Była, owszem, jedna w moim życiu i po niej już żadnej, nigdy.

Ręka zaczyna mi drżeć, kiedy o tym piszę, stąd te kleksy

i pismo roztarte, bo przecież nie od łez, bom nigdy o tem z nikim nie mówił. Dotykam przez koszulę mojej ukochanej pamiątki, z którą się nie rozstaję, złotego medalionu skrywającego kolodionowy obraz jej twarzy.

Na imię było jej Biddy, głód wygnał ją z Irlandii, poznałem ją w Nowym Jorku, jeszcze w Five Points. Była z niej tułaczka jak i ja tułacz, sierota w wieku lat dwudziestu jeden, rodzice jej zmarli oboje miesiąc po tem, jak wylądowali w Ameryce. Tyfus, brud i choroby pleniące się w Five Points pokonałyby mocniejszych, a oni, wedle słów mojej Biddy, do najmocniejszych nie należeli. Była nieźle wykształcona, rodzina jej musiała więc nie najgorzej prosperować, zanim popadnięcie w długi i nędzę zmusiło ich do emigracji, rozmawialiśmy oczywiście po angielsku, chociaż nocami szeptała do mnie po irlandzku, a ja do niej czule słówka mówiłem po polsku.

Nie mieliśmy tych nocy wiele.

— I am your wife now and you are my husband — powiedziała do mnie rankiem wobec świadkini, na którą została przywołana przeze mnie do stołu na jej żądanie kucharka. Znaczy to tyle, że ona jest moją żoną a ja jej mężem. Nic nie zostało zapisane inaczej niż w znakach, jakimi każdy nasz czyn odciska się w czasie. Powiedziała to po pierwszej z naszych niewielu nocy, a ja nagle zrozumiałem, że wszystkie te korowody lepszego towarzystwa, których świadkiem byłem jeszcze w Warszawie, wszystkie zaloty, flirty towarzyskie, dobre prowadzenie się, złe prowadzenie się, reputacja i jej brak, swatki, meزالianse, śluby przed księdzem, wszystko to narosło jak rak nad prostotą, z jaką Biddy została moją żoną, a ja jej mężem i wszystko furda.

Powiedziała mi tego samego dnia, że musimy porzucić to miasto — zgodziłem się, bo cóż mnie z nim łączyło, cóż łączyło mnie w ogóle ze światem? Byłem sam, nie miałem nikogo i nikt — poza nią — nie miał mnie.

Wyruszyliśmy jak tysiące innych na Oregon Trail, czyli prowadzący na zachód szlak oregoński, o którym tyle głupstw opowiadał na swoim odczycie ten arogancki młokos, i zanim dotarliśmy do Fortu Laramie, Biddy zachorowała, trudy podróży, zła pogoda, złe jedzenie,

lekarz przyszedł, powiedział: pneumonia i cóż mi po tej wiedzy? Biddy zmarła dwa dni później na twardej pryczy w Forcie Laramie i tam ją pochowałem.

Ile więc mieliśmy tych nocy, kilkanaście w Nowym Jorku, nie rozstaliśmy się ani na chwilę od tej pierwszej, i potem na wozie, w namiotach, w tanich pokojach, w brudzie, w robactwie, w strachu przed Indianami, w zimnie, aż do ostatniej, w której leżała martwa, a ja siedziałem na podłodze z desek u jej stóp, ściskając jej zimną dłoń, i nie umiałem nawet łzy uronić, może dlatego teraz płaczę, aż widzę, że się kelnerzy patrzą na mnie jak na starego wariata i czuję, jak ściska mnie coś w piersiach, ale nic to, będę pisał dalej, chociaż może raczej testament spisywać powinienem.

W Fortcie Laramie amerykański oficer rozpoznał we mnie żołnierza, chociaż ilem to ja się tam nawojował, zapytany przyznałem, że byłem porucznikiem w węgierskiej piechocie, brakowało mu ludzi, zaproponował mi służbę, odmówilem, tłumacząc się, że jako były oficer nie mogę jako szeregowiec służyć, jednak tak naprawdę cóż mi tam po cudzych wojnach, cóż mi po gonitwach z Indianami, żal mu się mnie najwyraźniej zrobiło, gdy mnie nad oznaczonym zbitym z desek krzyżem grobem widział, i zaprosił mnie na kolację do lepszej części ohydneho, lokalnego szynku, opowiadał mi o meksykańskiej wojnie, ja mu o węgierskiej, o mojej pracy markietana tamże i o dalszej tułaczce, wszystko było lepsze od myślenia o tym, że jedyna kobieta, jaką kochałem w życiu leży tam nieopodal w ziemi, w najtańszej trumnie i tak dwadzieścia osiem lat minęło, a ja ani nie spojrzałem już nigdy na inną, bo jedna była tylko dla mnie i ja tylko dla jednej, a nic z niej nie zostało, nawet żaden ślad poza niegojącą się raną w sercu mojem.

Amerykański kapitan, zresztą Niemiec z pochodzenia, nazwiskiem Mueller, polubiwszy mnie z nieznanego mi powodu i słysząc o mojem aprowizacyjnem doświadczeniu zapytał, czy nie chciałbym trochę zarobić, zajmując się aprowizacją jego żołnierzy, odparłem, że nie posiadam na to kapitału, wszystkiego majątku miałem wtedy może dwadzieścia dolarów, odparł, że widzi we mnie człowieka honoru i jest gotów pożyczyć mi sto dolarów na uczciwy

procent, abym mógł nimi obracać, zarobić i jednocześnie pomóc mu w niedomagającym zaopatrzeniu, zgodziłem się i wróciłem na wschód i potem z powrotem do Fortu Laramie i tak kilkakrotnie, raczej na koźle wozu, niż w siodle, z najętymi zbrojnymi dla ochrony, po czym za piątym razem mogłem mojemu wtedy już przyjacielowi zwrócić jego sto dolarów wraz z procentem, samemu posiadając kapitał, którym można było rozporządzić i poza tym nie posiadając nic poza wozem i paroma tłumokami i walizami.

Powiedziałem wtedy kapitanowi Muellerowi, że to ostatni raz, gdy się widzimy, bo każdy powrót do Laramie, do miejsca, w którym umarła, kosztuje mnie zbyt dużo, uściskaliśmy się mocno, wyznał mi wtedy, że on również pochował tutaj żonę i że z nikim, nawet w dzieciństwie, nie czuł więzów przyjaźni tak mocnych jak ze mną.

Ja czułem podobnie, nie spotkaliśmy się już nigdy więcej i jakbym dwa groby za sobą w tym Forcie Laramie zostawił.

Korespondowaliśmy potem jeszcze, ale obaj nieustannie zmienialiśmy adresy i w końcu kontakt się urwał i dziś nie wiem nawet, czy kapitan Mueller jeszcze żyje. Byliśmy wtedy w podobnym wieku, więc byłaby na to szansa, nawet biorąc pod uwagę hekatombę, która nastąpiła dziewięć lat później i do której się przyczyniłem, i która uczyniła mnie bogatym człowiekiem.

15 marca 1880 roku, poniedziałek, w Warszawie

Po tak długim czasie nie wiem nawet, czy to wypada do tego pisania tutaj wrócić, alem pomyślał sobie, że stanąwszy na progu wieczności trzeba się chwytać czegokolwiek, co jeszcze w życiu zostało.

Wczoraj chciałem nawet pójść do kościoła, skoro lekarz pozwolił mi już ruszyć się z mojego skromnego mieszkania, i wyszedłem po ponad dwóch tygodniach na dwór po raz pierwszy. W kościele na żadnym nabożeństwie nie byłem ponad trzydzieści lat, od kiedym granicę turecką przekroczył, ale wczoraj pomyślałem, że pójdę, skoro zdaniem doktora stałem już jedną nogą nad grobem, poszedłem więc do kościoła św. Andrzeja Apostoła przy Bonifraterskiej, bo miałem

najbliżej, ale natychmiast odstraszyły mnie tłumy, wczoraj była bowiem Niedziela Męki Pańskiej i zdaje się nie tylko ja pod koniec Wielkiego Postu pomyślałem o nawróceniu, rewolwer schowawszy z powrotem do szafy.

Gdzie tłumy tam jednak nie ja, porzuciłem więc ideę powrotu do religii, postanowiłem za to wrócić do moich wieczornych posiedzeń u Lesisza, zaszedłem, zjadłem wszystko to, czego mi doktor jeść zabronił i zamówiłem butelkę węgryzna, równie zakazaną, wyciągnąłem mój zeszyt i pióro i znowu sobie mój pamiętnik piszę.

Ostatniego razu, kiedyś tu siedział, pisał i płakał, wypilem tego wina zdaje się za dużo, po czym poczułem się bardzo słabo i straciłem przytomność. Ober posłał po lekarza, lekarz przybył, zdiagnozował atak serca i jakoś mnie uratowali, cóż z tego?

Poczyniłem od tego czasu ważne posunięcia, przede wszystkim kazałem służbie wezwać adwokata Krysińskiego i sporządziłem testament. Nie mając w tym mieście ani na tym świecie żadnych zstępnych ni wstępnych, Wokulskim zapisałem kamienicę, z zastrzeżeniem, które nieco głupio mi było czynić, znając pana Wokulskiego jako człowieka honoru, iż musi pozostać w ich rękach przynajmniej do śmierci zakwaterowanych w mieszkaniu po baronowej podopiecznych, których utrzymanie zabezpieczyłem solidną sumą, złożoną na uczciwy procent gdzie trzeba, z której odsetek ma być też opłacane zakwaterowanie, utrzymanie i pensja dla pana Wirskiego.

Osobną kwotę przeznaczyłem dla Helci, którą ma otrzymać po osiągnięciu wieku lat osiemnastu, dla swojego wyłącznego rozporządzenia. Oczywiście wcale tych pieniędzy nie potrzebuje, jako przybrana córka bogacza, jakim jest Wokulski, ale jest to dziecina bardzo słodka, aniołek mały i pomyślałem sobie, że pieniądze ojca to zawsze pieniądze ojca, nawet kiedy kocha ją jak własne. Ojciec, nawet tak mądry jak ten, może oszaleć, może zbankrutować, może wreszcie dostać apopleksji, albo modnej ostatnio choroby braku woli, która ludzi do łóżek kładzie bez żadnej widocznej przyczyny i w takiej sytuacji jej własne pieniądze, niemałe, uratują ją przed tem, żeby musiała nie daj Bóg kiedy łakomie spojrzeć na majątek jakiego starca,

jak te wszystkie nieszczęsne panny i wdowy, które koniecznie do starego Rzeckiego chciały przyjść z wizytą albo przychodziła w imieniu ich ojców i matek swatka, bo nie wiedziały, że Rzecki mógłby im nawet oddać tak po prostu swoje pieniądze, gdyby powiedziały prosto, że to pieniędzy im trzeba, ale Rzecki, co pisze teraz w trzeciej osobie, po prostu nie mógłby znieść tego, że któraś, poślubiona starcowi, miałaby potem przy tym starcu, przy Rzeckim, przy mnie rozebrać się z sukien, Boże uchowaj.

Dla mnie była tylko jedna kobieta, moja Biddy, i pochowałem ją niedaleko glinianych murów Fortu Laramie w Wyoming, i znowu pióro jakoś rozlewa ten atrament.

Czy jest sens tutaj jeszcze o tem wszystkim co potem pisać? Czyż nie po to jednak zacząłem ten pamiętnik, który już całkiem niedługo wyląduje na jakimś śmietniku albo w najlepszym razie posłuży komuś na papier do skręcania papierosów?

Czy po to może piszę, żeby się papierowi wypowiadać z mojego życia?

Niech więc będzie.

Pożegnawszy się z moim przyjacielem, kapitanem Muellerem, wróciłem do Nowego Jorku, nie bez obejmujących dwie strzelaniny przygód, zakwaterowałem się miejscu niedrogiem, lecz przyzwoitem i dałem sobie tydzień, aby się rozejrzeć i już drugiego dnia wiedziałem, że droga poprowadzi mnie do Kaliforni, jak wszystkich.

Nie zamierzałem jednak zostać poszukiwaczem złota, bo do fizycznej pracy mnie nie ciągnęło, a wiedziałem już bardzo dobrze, nauczywszy się tego poniekąd na wojnie, że majątek najlepiej rośnie, gdy jest pochodną od pracy, nie pracą samą.

Na oregoński szlak wracać nie zamierzałem, zaokrętowałem się więc na pokład „Flying Cloud”, najpiękniejszego okrętu jaki w życiu widziałem, i popłynąłem w trwający prawie pół roku rejs z Nowego Jorku do San Francisco, dookoła przylądka Horn, i gdy wszyscy pasażerowie trzęśli się pod pokładem znużeni chorobą morską, ja patrzyłem w straszne, potworne fale, jakich nie widziałem był nigdy wcześniej i później, i myślałem, czy może należało zostać marynarzem?

Marynarzem jednak nie zostałem, chociaż rejsu tego nie zapomnę do końca życia, ileż widziałem wtedy świata i jęgo cudów!

W tem miejscu musiałem przerwać pisanie, albowiem do piwnicy Lesisza zaszedł pan Wokulski i widać, że przybył w pośpiechu, nawet bez pałta, podejrzewam, że ktoś mu musiał donieść, że z domu wyszedłem. Troszczył się, chodził dookoła mnie jak na paluszkach, ależ panie Rzecki, czy to na pewno rozsądne, w pańskim stanie tego węgryzna, potem widziałem, że czekał, czy go do stołu nie zaproszę, zamiast tego przeprosiłem go równie uniżenie, co szczerze, że mam coś bardzo ważnego do napisania, zrozumiał, nie obraził się, uklonił się i odszedł. O testamencie nie rzekłem mu ani słowa, oczywiście, obraziłby się tylko, a na trupa już się obrażać nie będzie wypadało.

Marynarzem więc nie zostałem, w San Francisco kupiłem parę mułów i wywiedziałem się, czego tym oszalałym od chciwości ludziom potrzeba. Wtedy zdawało mi się, że podobnego szaleństwa w życiu nie widziałem, dziś wiem, że mnie opanowało tak samo, tylko nauczyłem się, że złoto skuteczniej wydobywa się z ludzkich kieszeni, niż ze złotonośnego piasku. Po roku miałem dwadzieścia mułów, poganiaczy i dwa sklepy, w Sacramento i na Portuguese Flat, potem trzeci wzdłuż Siskyou Trail, i sprzedawałem wszystko, od mis i łopat, po proch, whisky i broń. Z czym nie chciałem mieć nic wspólnego, to niewolnicy, ladacznice i wyszynk, chociaż alkohol oczywiście sprzedawałem, najchętniej jednak w hurcie. Moja rezerwa wynikała przede wszystkim z oporów natury moralnej, ale też z dbałości o dobro interesu: ze wszystkich sił unikałem sytuacji, w których łatwo o przemoc. It's just bad for business.

Złoto się skończyło, ale zanim się skończyło, byłem już dość bogaty, względnie znany w okolicy i szanowany. Za to ostatnie wdzięczność winien jestem dobremu Minclowi, bo to przecież on nauczył mnie kupieckiej staranności i rzetelności, na której opiera się dobre imię, z którego wynika kredyt, z kredytu zaś bogactwo, z bogactwa reputacja, z niej dalszy kredyt.

Złoto się więc skończyło, interes nie rozwijał się już tak szybko, jak gdy jeszcze było, ale trwał i lubiłem i do dziś lubię tych kilka lat

mojego życia, w tym dobrze służącym mi klimacie, potem przeniósłem się do pięknego domu w okolicy Sonomy, gdzie zainwestowałem trochę w winnice pana Haraszthy'ego, pierwszego Węgry, jakiego napotkałem od czasu ucieczki do Turcji, z którym całkiem się polubiliśmy, gdy tylko dowiedział się o mojej służbie wojskowej i stopniu porucznika węgierskiej piechoty i życie, chociaż samotne i z raną w sercu po mojej Bidy, było całkiem dobre.

Może gdybym się wtedy ożenił z jakąś dobrą, skromną katoliczką, może zostałem tam w końcu, mimo wojny i może tamta wojna nie porwałaby mnie tak, jak porwała.

Bo porwała, gdy przyszła. Rzuciłem się na tę wojnę jak wilk na stado owiec, port San Francisco miał dla Unii oczywiście strategiczną rolę i ktoś tę rolę musiał obsłużyć, i byli to kupcy, markietani jak ja. Na wojnie z człowieka zamożnego stałem się bogaczem. To ja kupiłem tanio i sprzedałem wojsku drogo konie, które na swoich grzbietach poniosły pustoszących Georgię żołnierzy Shermana, sprzedałem też wojsku wszystko inne, co do wojny jest potrzebne i szedłem wtedy za nimi, wszystko widziałem na własne oczy i nie mogę, nigdy nie mogę powiedzieć, abym nie wiedział, co uczyniło mnie bogaczem.

Nie chcę więcej o tem pisać.

W ogóle nie chcę już więcej pisać, chcę za to zamówić jeszcze jedną flaszkę węgryna, wiedząc doskonale, że nie powinienem. W testamencie całą resztę majątku zapisałem brodatemu studentowi medycyny; szkoda, że nie zobaczę, co z nim zrobi.

Mam nadzieję, że czekasz tam na mnie, Bidy.

Koniec

Jak wygląda historia Łęckiej, której rodzina nie skazała na bogate zamążpójście? Co dzieje się z Rzeckim, gdy wreszcie przestaje troszczyć się wyłącznie o cudze interesy?

W serii opowiadań „Nie-Lalka” Szczepan Twardoch, Sylwia Chutnik i Wojciech Chmielarz odpowiadają na te pytania. Po prawie 140 latach symbolicznie odcinamy sznurki i oddajemy bohaterom Prusa niezależność finansową oraz możliwość życia na własnych zasadach.

